NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW**, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VI. Kraków, 28 sierpnia 1909. Nr. 35.

Wstrząsająca tragedya.

(Treść na str. 2).





Dzielna młodzież: Ogólny widok przyszłego parku Macierzy szkolnej w Cieszynie.

Wstrząsająca tragedya.

(Do illustracyi tytułowej).

Przed paru dniami rozegrała się pod Krakowem, w Czarnej Wsi, wstrząsająca tragedya małżeńska, której ofiarą padło życie dwojga młodych ludzi.

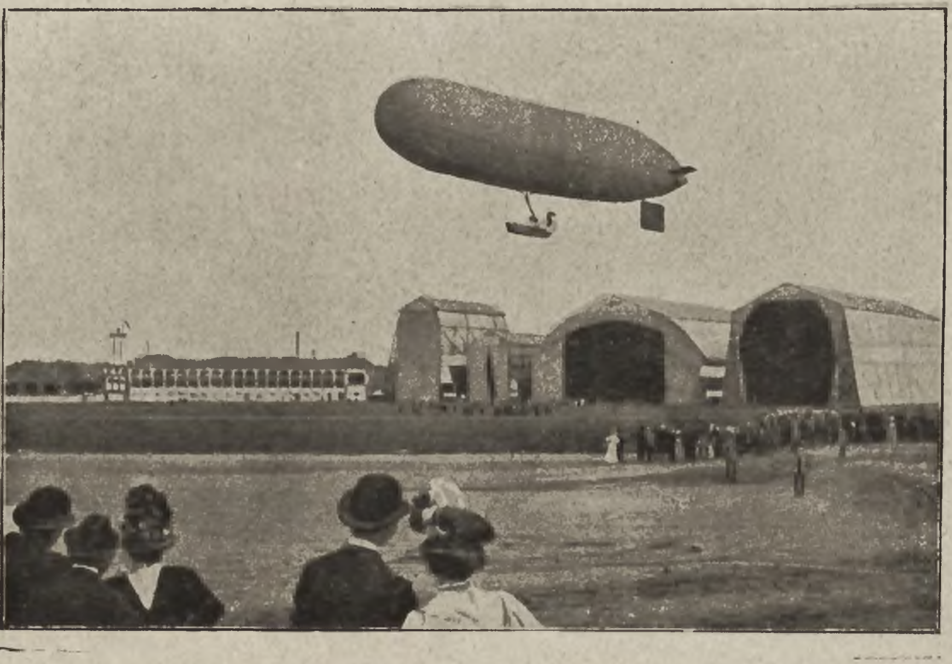
Ludzie ci, małżonkowie Jan i Marya Kowalikowie, przybyli z trojgiem swych dzieci w piątek ubiegłego tygodnia z Ameryki do Krakowa, aby się tu po kilku latach pobytu za oceanem osiedlić na stałe. W poszukiwaniu za mieszkaniem dostali się do Czarnej Wsi i zamieszkali chwilowo w pokoju kamienicy niewykończonej jeszcze, bo innego mieszkania na razie znaleść nie mogli.

Mebli oczywiście żadnych nie mieli ze sobą, a że wieczór już zapadł, więc tylko parę wiązek słomy przyniósł Kowalik i rozścielił je na podłodze, aby wraz żoną i dziećmi spędzić tam noc. Sąsiadów uderzyło, że małżonkowie są dziwnie milczący, tłomaczyli to sobie jednak tem, iż długa podróż z Ameryki do kraju zmęczyła ich bardzo i odebrała ochotę do pogawędki. Istotnie byli „Amerykanie“ pomęczeni i zaraz po przygotowaniu barłogu pokładli się do spoczynku nocnego.

Ale milczenia przyczyna inna była. Duszę Kowalikowej dręczyły wyrzuty sumienia, a on rozmyślał nad strasznym czynem, który w kilka godzin później postanowił spełnić, a który miał pozbawić życia i jego samego i żonę. Stracił bowiem wiarę w uczciwość swej żony, a nawet nie czuł się w jej towarzystwie bezpiecznym. Przekonał się o tem w drodze do kraju, do którego wracał po kilkuletniej tułaczce, pełen najpiękniejszych nadziei i marzeń. Uzbierał w Ameryce trochę grosza, był pracowity i energiczny, spodziewał się więc, że jako piekarz z zawodu, będzie mógł dalej w kraju pracować na życie i na utrzymanie rodziny. Dręczyła go tylko myśl, że żona nie jest mu wierna. Zauważył to już podczas ostatnich dni pobytu w Ameryce, gdzie zawiązała stosunek miłosny z pewnym młodym człowiekiem. Myślał jednak, że po rozstaniu się z kochankiem i powrocie do kraju, zmieni się i poprawi.



Dzielna młodzież: Uczniowie cieszyńskich polskich szkół średnich przy pracy nad urządzeniem parku. Na lewo ofiarodawca Adam Sikora i nauczyciel Józef Tabeau.



Katastrofa balonu: Balon „Parseval III“ podczas lotu.

Straszny go atoli spotkał zawód. Przekonał się bowiem, że żona namówiła kochanka, by także do kraju powrócił, a w czasie podróży podsłuchał ich rozmowę, z której się dowiedział, że uplanowali zamordowanie jego, aby następnie bez przeszkody prowadzić wiarołomny stosunek.

Kowalik nie zdradził wobec żony, iż posiadł jej zbrodniczą tajemnicę, ale w duszy poprzysiągł straszną zemstę. A myśl o niej była właśnie przyczyną milczenia, jakie sąsiadów uderzyło.

Ranek już świtał, ludzie poczęli się zrywać ze snu do pracy, gdy w mieszkaniu „Amerykanów“ rozległ się odgłos trzech strzałów rewolwerowych. Przyczynę ich rozmaicie sobie tłómaczono, nikt jednak nie przypuszczał, że w tej chwili stygły w ubogiej izbie ciała dwojga ludzi. Wnet też przestano o tem zajściu myśleć, bo zapanowała napowrót cisza niczem nie zamącona.

Dopiero koło 7 rano, gdy do kamienicy przyszedł właściciel jej, p. Lustbader, tajemnica małej izdebki wyszła na jaw. P. Lustbader bowiem spotkał na ganku 7-letniego synka Kowalików, a gdy ten na jego pytanie nic nie odpowiadał, tylko zaczął płakać, otworzył drzwi i wszedł do wnętrza.

Straszny widok uderzył go w oczy. Oto na barłogu ze słomy po jednej stronie leżała Kowalikowa, z poranioną i pokrwawioną twarzą, a po drugiej stronie leżał trup Kowalika, również z głową przestrzeloną. U łona matki leżało najmłodsze dziecko, niemowlę jeszcze, u nóg ojca bawiła się rewolwerem 5-letnia córeczka, oboje oczywiście nie zdając sobie wcale sprawy z tragedyi, która pozbawiła życia ich rodziców. Także najstarszy dzieciak tylko przeczuwał nieszczęście i nieustannie płakał, on jeden też mógł opowiedzieć, co się w skromnej izdebce stało i jaki był przebieg krwawego dramatu. Według opowiadania chłopaka, ojciec wstał rano, zbliżył się do żony, przyłożył jej rewolwer do ust i strzelił; matka, nie wydawszy nawet jęku, zmarła. Potem poszedł ojciec w drugą stronę pokoju i strzelił sobie dwa razy w głowę. I te strzały były śmiertelne, po chwili też ojciec skonał.

Opowiadanie chłopaka wyjaśniło po części sprawę, o tyle przynajmniej, iż jakiekolwiek dochodzenia karno sądowe były zbyteczne. Przyczyny zaś straszne tragedyi podał list Kowalika do jego ojca, z którego się dowiedziano, iż do morderstwa i samobójstwa popchnął Kowalika żal z powodu wiarołomstwa żony i niepewność własnego życia.

Zwłoki małżonków odstawiono tego samego dnia

do zakładu medycyny sądowej, trojgiem sierót zaś zajęli się na razie sąsiedzi.

Rycina nasza na stronie tytułowej przedstawia ubogą izdebkę, zamieszkaną przez Kowalików, w chwili gdy do niej wchodzi właściciel kamienicy i z przerażeniem spostrzega na podłodze dwa pokrwawione trupy, a obok nich bawiące się dzieci.

Kongres eucharystyczny w Kolonii.

Od szeregu lat odbywają się w rozmaitych większych miastach Europy kongresy katolickie, noszące miano kongresów eucharystycznych. Dotąd odbywały się one w krajach z ludnością czysto katolicką. Dopiero w roku ubiegłym zrobiono wyjątek i podobny kongres odbył się w Londynie, pomimo że w Anglii katolicy stanowią bardzo drobną cząstkę ludności. Tego roku zaś kongres eucharystyczny zebrał się w bieżącym miesiącu w Kolonii, mieście przeważnie katolickiem, tak, jak i cała pruska Nadreńska prowincya, w której jest położone.

Na kongresie tym, oprócz przedstawicieli niemieckich katolików, obecni byli także Francuzi, Włosi, Anglicy i Polacy. Legatem papieskim był kardynał Vanutelli, asystowali mu zaś jeszcze dwaj inni purpuraci a mianowicie arcybiskup koloński, ks. Fischer i arcybiskup medyolański, ks. Ferrari. Z polskiego episkopatu wziął udział w tym kongresie, największym z dotychczas odbytych, ks. Nowak, biskup-sufragan krakowski.

Obrady kongresu odbywały się osobno dla Niemców po niemiecku, a osobno dla innych narodowości po francusku, uroczyste zaś posiedzenia — we wspaniałym tumie kolońskim, który, po wyniesieniu Sanctissimum, zamieniony został na jedyną w swoim rodzaju salę obrad.

Na kongresie poruszono mnóstwo spraw o charakterze nietylko czysto religijnym ale także religijno społecznym, a uczestnicy jego spodziewają się stąd błogich skutków dla społeczeństwa w wielu krajach katolickich.

Kongres ostał zakończony olbrzymią procesyą. Wzięło w niej udział kilkaset stowarzyszeń katolickich i dziesiątki tysięcy pobożnych. Na czele procesyi, która przeciągała trzy godziny przez ulice Kolonii kroczyło 74 duchownych, ozdobionych biskupiemi infułami, w otoczeniu setek księży świeckich, zakonników, kawalerów maltańskich, Joanitów, szambelanów papieskich i t. d. Na placu Neumarkt ustawiony był ołtarz na podniesieniu, przed którym 1500 śpiewaków wykonało śpiewy liturgiczne, a od którego legat papieski udzielił zgromadzonym błogosławieństwa.



Katastrofa balonu: Balon „Parseval III“ po wypadku na ulicy Frankfurtu

Arcyksiążę sportsmanem.

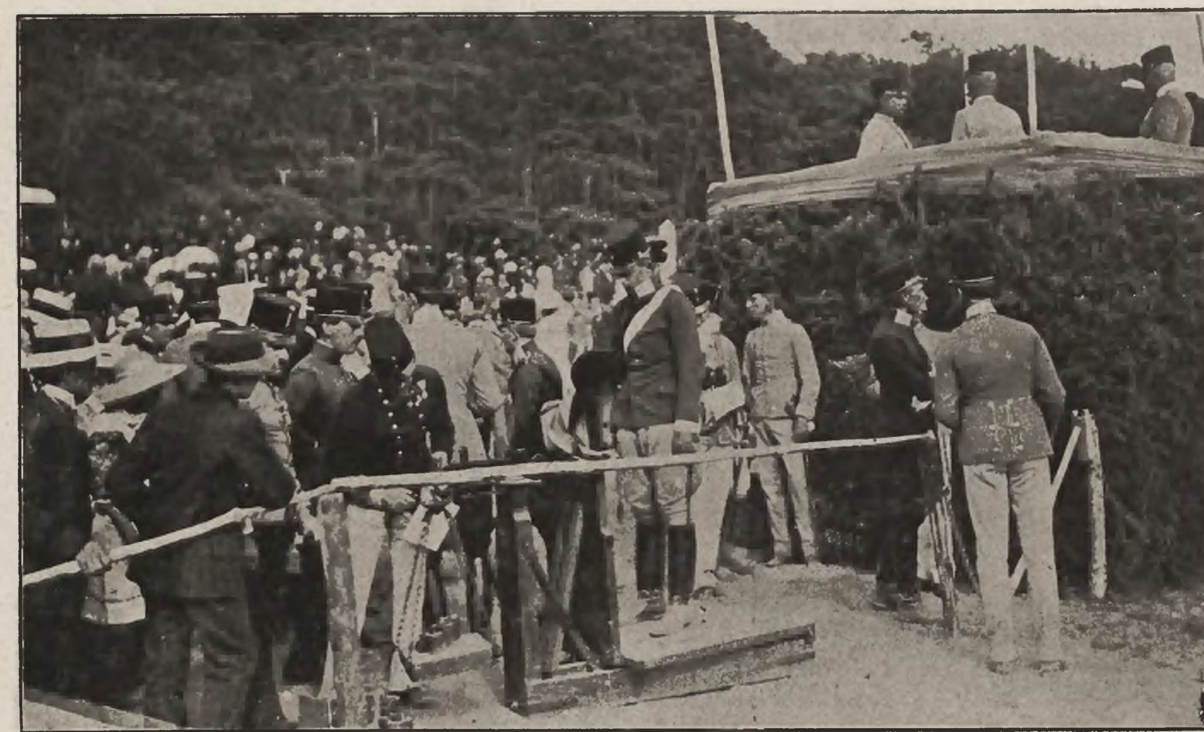
Wszyscy mężczyźni z domu Habsburgów, za przykładem swej głowy, sędziwego cesarza Franciszka Józefa, uprawiają z zapałem sporty rozmaitego rodzaju. Cesarz dotąd jest niestrudzonym myśliwym, arcyksiążę Leopold Salvator — odważnym aeronautą, arcyksiążę Karol Stefan — dzielnym żeglarzem itd. Rzecz prosta, że wszyscy arcyksiążęta, a szczególniej młodsi, są także wielkimi lubownikami konia i sportu wyścigowego.

Na załączonej rycinie widzimy arcyksięcia Karola Franciszka Józefa, któremu kiedyś po arcyksięciu Franciszku Ferdynandzie przypadnie korona cesarza Austryi i króla Węgier, w chwili, gdy przed wyścigiem oficerskim, jaki się odbył kilka dni temu w Brandysie pod Pragą, daje się zważyć. Młodziutki ten członek domu cesarskiego rezyduje teraz stale w Pradze, gdzie pełni służbę w 7-mym pułku dragonów jako porucznik i w krótkim czasie zdobył sobie wielkie sympatye miejscowej ludności swem przystępnem obejściem i właściwą młodości rzeźkością temperamentu.

Przy wzmiankowanych wyścigach szczęście nie



Kongres eucharystyczny w Kolonii: Zagraniczni biskupi i prałaci podczas procesyi na zakończenie kongresu.



Arcyksiążę sportsmanem: Arcyksiążę Karol na wadze przed wyścigiem w Brandysie pod Pragą.

dopisało arcyksięciu, nie wziął bowiem żadnej nagrody. Wcale to jednak nie wpłynęło na jego humor, owszem gratulował serdecznie kolegom, dla których bogini Fortuna okazała się łaskawszą i w wesołem usposobieniu opuścił tor wyścigowy.

„Dom polski“ w Waszkowcach.

Przed dwudziestu kilku laty powstała w Waszkowcach na Bukowinie Czytelnia polska, założona dzięki staraniom kilku studentów-Polaków, rodem z tego miasteczka. Losy Czytelni były bardzo zmienne. Czasem kwitnęło w niej życie bardzo ruchliwe, czasem jednak zamierało i Czytelnia chyliła się ku upadkowi. Dopiero od 1904 r., gdy dokonano poświęcenia własnego sztandaru, rozpoczęła się nowa era w rozwoju waszkowieckiej Czytelni polskiej.

Zasługa to w przeważnej części obecnego je prezesa, ks. Zawadowskiego. Zastał on Czytelnięj mieszczącą się w szczupłej izdebce na przedmieściu. Ponieważ zaś ruch towarzyski w tym czasie się ożywił, przeniesiono ją do śródmieścia, równocześnie zaś ksiądz prezes począł się krzątać około wzniesienia własnego budynku Czytelni. Ułatwił to zadanie właściciel Waszkowiec, p. R. Freitag, ofiarowując za darmo plac pod budowę, wartości kilku tysięcy koron; resztę zrobiła ofiarność członków Czytelni, a przedewszystkiem prezesa ks. Zawadowskiego. Stanął więc piękny budynek piętrowy, odpowiadający najzupełniej celowi, z salą obszerną, mogącą pomieścić kilkaset osób i wygodną sceną.

Dalszy rozwój Czytelni polskiej jest więc zapewniony, dzięki czemu ludność polska w Waszkowcach znajdzie w niej i rozrywkę i pożyteczną naukę. Przedewszystkiem zaś nie będzie stracona dla sprawy narodowej. Nad tem pracuje także gorliwie ks. Marceli Zawadowski, jeden z najdzielniejszych księży-patryotów. Zasługi jego w tym kierunku są wprost niespożyte. To też ludność miejscowa polska ceni go i kocha, szczęśliwa, że posiada tak dzielnego przewodnika i duszpasterza.

Oby ich było jak najwięcej!

Odznaczenie ministra spraw zagranicznych.

Cokolwiek możnaby zarzucić polityce Austro-Węgier w ciągu ostatniego roku, to jednak przyznać każdy bezstronny musi, że różni się ona bardzo korzystnie od tej polityki, jaką uprawiali ostatni austrycko-węgierscy ministrowie spraw zagranicznych a przedewszystkiem nasz rodak, hr. Agenor Gołuchowski. Minister hr. Aehrenthal, świeżo odznaczony przez cesarza tytułem hrabiego, w czasach bardzo trudnych, tj. przed i bezpośrednio po aneksyi Bośni i Hercegowiny, wykazał duży talent dyplomatyczny



„Dom polski“ **w Waszkowcach**: Dom, w którym się mieści Czytelnia polska w Waszkowcach.

a przytem znaczną dozę energii, której jego poprzednicy nie posiadali. Dzięki tym przymiotom przeprowadził kampanię dyplomatyczną tak, że nietylko obeszło się bez rozlewu krwi z powodu aneksyi, ale nawet Austro-Węgry zyskały znakomicie na powadze wobec zagranicy. Odznaczenie hr. Aehrenthala jest na stosunki austryackie dość niezwykłe, bo cesarz Franciszek Józef, w przeciwieństwie do swego sojusznika cesarza Wilhelma, wcale nie szafuje tytułami względem swych ministrów. Dotąd jedynie Beust otrzymał od niego godność hrabiowską.

Hr. Alojzy Lexa-Aehrenthal, którego portret podajemy w niniejszym numerze, pochodzi z Moraw i liczy lat 55. Już w r. 1882 został mianowany sekretarzem w ministerstwie spraw zagranicznych, a posuwając się szybko po szczeblach karyery dyplomatycznej, otrzymał w 1889 r. tytuł radcy legacyjnego I-ej klasy. W r. 1895 został posłem w Bukareszcie, a w cztery lata później ambasadorem w Petersburgu, skąd w październiku 1906 r. powołano go do Wiednia dla objęcia teki spraw zagranicznych po hr. Gołuchowskim.

Hr. Aehrenthal, ożeniony z hr. Pauliną Szechenyi, posiada duży majątek, a między innemi obszerne dobra na Morawach. Jako polityka cechują go: wyraźne sympatye do Niemiec i nieprzyjazne usposobienie względem Słowian w ogólności a w szczególności względem Polaków, jako dyplomatę zaś — niczem niezachwiana, zimna krew, dar szybkiej oryentacyi, oraz umiejętność ukrywania swych myśli i zamiarów w połączeniu ze znaczną energią, cośmy wyżej zaznaczyli.



„Dom polski“ **w Waszkowcach**: Grono członków Czytelni polskiej w Waszkowcach, z prezesem ks. Zawadowskim na czele.

PAWEŁ MARGUERITTE.

CZARNA KSIĘŻNICZKA

35 (Ciąg dalszy).

Nie dokończył, by nie przestraszyć pani Morailles, której powiedział, iż Huchssetts wrócił spokojnie do siebie.

— Niech pani pozwoli mi pozbyć się tego człowieka, znam go, będzie milczał.

Markiza nie miała sił powstrzymywać go; już wyszedł i biegł szybko po trawniku. Po drodze nałożył sobie okulary i wąsy. Stał się innym.

Stanął za stróżem, który pochylony nad Huchssettsem potrząsał nim; latarnia była na ziemi.

Jednem uderzeniem nogi Cockley pchnął ją do basenu fontanny, a jednocześnie przyłożył rewolwer do głowy stróża.

— Jedno słowo, jeden gest, a zginiesz!

Zmienił głos, by go przypadkiem nie poznał.

Stróż przerażony ani nie jęknął. Drżał tylko.

— Klucz od drzwi, rozkazał Cockley.

Posłuszny zaczął szukać w kieszeni.

— Klucz! powtórzył Cockley, lub cię zabiję.

— Ja... nie wiem... nie mogę znaleść, bełkotał oszołomiony. Niech pan przekona się... pe... pewnie upuściłem... go.

Napróżno Cockley przy świetle swej latarki rozglądał się wokoło. Klucza nie było.

— Weź tego człowieka, rzekł do stóża, on tylko omdlał... Porusza się... Zaniesiemy go.

Wziął kapitana za nogi, stróż pod ramiona i zanieśli do pawilonu.

— Ocuć go i pozostań z nim. Nikogo nie wołaj! Nie staraj się wyjść!

Dla ostrożności zamknął drzwi na klucz. Odchodząc, zadrżał. Pani Morailles była tu. Nie mogąc pohamować się, poszła za nim.

— I co?

— Nic, wyznał Cockley... Wpadliśmy w pułapkę. Wyjścia ani w jedną stronę, ani w drugą. Dzisiaj nie udało się.

— Nie, rzekła pani Morailles z rozpaczą, to niemożliwe, byśmy nie mogli stąd wyść.

— Niestety.

Załamała ręce.

— Lecz czym i ja zwaryował, zawołał nagle. Jesteśmy zbawieni. Groot wstanie, by spuścić z łańcucha psy.

— To nas zgubi.

— Nie, Groot będzie mi posłuszny... Wiem, że musi mi być posłuszny.

Spojrzał na zegarek.

Zaraz nadejdzie, poczekajmy.

Naznaczona jednak przez Cockleya godzina minęła, a Groot nie ukazywał się. Przeszło pięć, dziesięć minut, kwadrans, napróżno! Co się mogło stać? Czy siła hypnotyzmu przestała już działać? Groot jednak był posłuszny rozkazom Cockleya. Wstał o oznaczonej porze, wziął latarnię i otworzył kluczem zamek od drzwi. Pozostała jednak zasuwka. W nakazie swym Cockley o niej nie wspomniał. Uśpiony wywnioskował, że drzwi nie powinny się otworzyć. Dojrzał, iż zasuwka zamyka drzwi. To bardziej jeszcze zmieszało jego myśli. Zastanowił się, dlaczego tutaj znajduje się — tymczasem siła hypnotyzmu wyczerpała się. Groot widząc, że drzwi są w porządku zamknięte, wrócił do siebie.

Cockley i pani Morailles pozostali więźniami, tym razem bez żadnej już nadziei.

XXXIII.
ZŁOWROGA KOBIETA.

W salach kasyna w Monte Carlo cisnął się do koła stołów gry różnobarwny tłum, złożony z przedstawicieli wszystkich narodowości. Cała ludzkość, zdawało się, składa ofiary temu złotemu cielcowi, wszystkie stany społeczne: arystokracya i drobni kupcy; stali bywalcy, którzy imając się najrozmaitszych sposobów, chcieli tutaj zarabiać na życie i wesołe kurtyzany, nie troszczące się o pieniądz. Stare kobiety, które z wyciągniętą w ręce stawką długo wahały się, na co postawić i młodzieńcy, zasiadający do gry z stosami banknotów. Wszyscy starali się okazać obojętność, we wzroku jednak każdego czuć było trwogę i chciwość. Każdy wchodził tutaj z pragnieniem wygrania, mało kto jednak powstawał od stołu zadowolony. Zostawiając tu pieniądze, zostawiał i nadzieję życia.

Jakaś ciężka, przygnębiająca cisza panowała nad tłumem; niekiedy drżenie, wywołane niespodziewanym ruchem fortuny, wstrząsało jakby zahypnotyzowaną, odrętwiałą publiką i z piersi wszystkich dobywało się lekkie westchnienie.

Maurycy Le Chars od kilku już dni oddychał tą atmosferą gorączki i szaleństwa. Pierwszy zasiadał do stołu, ostatni odchodził. Nieczuły na wszystko, co nie było grą, był świadkiem nie jednej już dramatycznej sceny, jaka się tu odbyła. Przedwczoraj siedział przy nim młody mężczyzna, który po przegraniu znacznych sum, przytknął do ust małą buteleczkę i runął bezwładny na ziemię. Podniósł się mały tumult, krupierzy pospiesznie zgarnęli pieniądze, by ręce bez skrupułu ich nie zagarnęły, służba po chwili zabrała zwłoki i gra zaczęła się na nowo. Na miejscu samobójcy usiadła wysoka, czarno ubrana kobieta, i jakby to krzesło miało jej przynieść szczęście, stawiała na numery wielkie stawki.

Maurycy często spotykał jej wzrok na sobie; przypominała mu kogoś, kogo dawno już nie widział. Napróżno starał się przypomnieć ją sobie, pamięć nikła mu pod destrukcyjnym wpływem opium. Spostrzegł to i doznawał wyrzutu, który jednak zaraz przygłuszony rządzą wygrania, zamierał w nim. W tem oszołomieniu niezdrowych chwil, gdy demon gry pociągał go na dno przepaści, ukazywała mu się postać żony i Jacka, nikły one jednak prędko z przed jego oczu. Dopiero w pokoju hotelowym odnajdywał swoje sumienie, lecz i wtedy kilkanaście fajek opium, wypalonych jedna za drugą, pogrążyły go w zapomnieniu o wszystkiem, nawet o własnym swym upadku.

Tymczasem Joanna, pożerana obawą o męża, myślą biegła przed pociągiem, chciała już być przy Maurycym. Wyrzucała sobie, jakby była temu winną, iż opuściła męża, iż pozwoliła jechać samemu. Nie powinna była go opuszczać, ale wyrwie go teraz z tej otchłani, gdzie tyle już szczęścia ludzkiego przepadło, przyciśnie go do serca, powróci na nowo do życia. Godzina jednak wyznaczona Maurycemu przez los wyprzedzała pociąg, który wiózł mu wybawienie. Przegrywał do reszty to, co mu jeszcze pozostało.

Ostatnie sto franków, pożyczone od chłopca hotelowego, zagarnął swą łopatką krupier. Szperał w kieszeniach, lecz nie znalazł nic, ani jednej monety pięciofrankowej.

Nic! A chwilami tysiące i tysiące franków płynęło mu przez palce, chwilami stosy złota piętrzyły się przed nim. Teraz skończone. Położenie bez wyjścia. Przegrodzony od życia ruiną.

Stracił wszystko: fundusz Joanny i Jacka, resztki fortuny Roberta, których klął się nigdy nie ruszyć; okradł syna swego brata. Nic już nie miał swojego, nawet pensyi konsula, którą zastawił na pięć lat u żyda lichwiarza w Nicei. Wszędzie był winien, nie zapłacił nawet hotelu. Tysiąc franków, przysłane telegraficznie przez Joannę, nie trwały dłużej, niż światło zapałki. Nic, żadnej nadziei, żadnej pomocy. Noc, przepaść, pustka!

Podnosząc oczy od stołu gry, ujrzał naprzeciwko siebie tę czarną kobietę, która wzrokiem swym sardonicznym, jakby sztyletem przeszywała go. Ściśnięta w czarnej sukni, opinającej jej piękny jeszcze biust, wysoka, o bladej, dumnej i okrutnej twarzy, zdawała się być uosobieniem złowrogiej fatalności. Nie była mu obcą. Do kogo może należeć ta twarz, która niejasno odbijała się w jego przeszłości, ta twarz o strasznym uroku? Do kogo może należeć ta postać wyniosła bogini Zła, stworzonej, by upajać mężczyzn szałem rozkoszy zabójczej.

Nagle Maurycy uczuł, jak wszystkie nerwy w nim zadrgały: wiedział, przypomniał sobie to przeklęte imię, poznał tę kobietę!

Czarna księżniczka! Tak, to była ona!...

Czarna księżniczka, szpieg międzynarodowy, awanturnica, kurtyzana, zły duch; ta która wywołała śmierć Roberta i zamordowanie niewinnej księżniczki Storwicz; ta, która włamywała się do jego biurka i chciała sprzedać markizowi Morailles honor jego żony. Ta, której życie było jednym łańcuchem nierządu i zbrodni.

Była to w istocie mistress Harden, Colson, mistress Barnmann, była-hrabina Givers, Marya Caritade della Torre, prawdziwa Czarna księżniczka, pieszczona przez arystokratów i bankierów, której książęta u nóg składali swe herby i bogactwa; ta, która wolała towarzystwo bandytów, złodziei i prostytutek; opiekunka dziewcząt i ich stręczycielka; szatańskie stworzenie, ulepione z rozkoszy, krwi i błota.

Maurycy nie mógł podejrzewać, jakiemi niewidzialnemi więzami został skrępowany, nie przypuszczał, iż w tym świadku leży pierwsza i ostatnia przyczyna jego upadku i ruiny.

Spojrzał na nią, by zgnieść ją swym wzrokiem, nie mógł jednak wytrzymać na sobie błysku jej oczu; wstał i wyszedł. Szedł jak człowiek pijany, nie czując, że idzie. Noc była ciepła, przesycona zapachem kwiatów. Kawiarnie błyszczały światłem, wesołe życie pieniło się. Oddalał się. Przyciągało go morze. Za ogrodami, ciągnącymi się za wielkim gmachem muzeum, zauważył poprzednio jeszcze jedno miejsce, zakątek, jakby taras nad przepaścią. Urwiste skały wznosiły się prostopadle. Na dole morze rozbijało się o kamienisty brzeg. Mały mur na wysokość dziecka służył za ogrodzenie. Nie potrzeba przestępować go, wystarczy pochylić się.

Nie można wybrać sobie lepszego miejsca na śmierć.

Dopóki jednak nocny tłum nie powróci do Nicei, Mentony, Cannes, nie może myśleć o tym akcie rozpaczy. Będzie strzeżony tam, przeszkodzą...

Błądził długo tam, potem usiadł w kawiarni, słuchając muzyki, dopóki orkiestra cygańska nie złożyła skrzypiec do pudełek, dopóki ostatnie wyróżowane nocne ćmy nie odleciały, szeleszcząc jedwabnemi halkami. Ogrody opustoszały, gdzieniegdzie tylko przechadzała się jeszcze spóźniona para zakochanych.

Zwolna cisza spłynęła na to miasto wykwitłe sztucznie, jak wspaniała, olbrzymia orchidea na skale. Panowało wiosenne ciepło; gwiazdy świeciły na ciemnem niebie. Wszędzie była zima i lód, a tutaj kwiaty kwitły, napełniając swą wonią powietrze.

Gdy uznał, że chwila nadeszła, Maurycy skierował się wolnym krokiem do tego zakątka. Nie spieszył się, miał czas. Gdy kto zdecydował się na samobójstwo, cóż może znaczyć dla niego kilka chwil. Wieczność czeka! Czy umrze bez żalu, bez wspomnień, bez wyrzutu?

Nie! W miarę jak noc się toczyła, opanowywał go straszny ból: umrzeć tak, śmiercią nikczemną, umrzeć bez honoru, w dali od żony i dziecka! Oh, co za straszna rozpacz!

Pragnienie odczuł. Gorzka woda morza zwilży zeschnięte jego usta, spalone gorączką podniebienie. Za chwilę nie będzie czuł pragnienia, ani głodu, ani żalu, ani wspomnienia, ani wstydu. Oby go tylko nie odnaleziono!... Niech oczom biednej Joanny nie przedstawi się straszny obraz jego rozstrzaskanego ciała...

A może się nie zabijać? Joanna oznajmiała swój przyjazd. Za kilka godzin będzie tutaj. Zna ją, przebaczy mu...

Nie! nie narazi się na jej słuszne wyrzuty. Nie jest już godzien życia. Sam się skazał, nic mu nie pozostaje, tylko śmierć.

Maurycy doszedł do nieszczęsnego miejsca.

Zatrzymał się zdziwiony.

Ktoś go uprzedził. Wysoka, ciemna figura stała nad przepaścią. Kobieta, której postawa przypomniała mu żywo złowrogą postać z sali gry. Obróciła się, czekając na niego. Księżyc oświecał ją:

Czarna księżniczka!

— To pan... Oczekuję tu pana — rzekła cichym głosem.

Oniemiały z osłupienia, patrzył na nią nieporuszony.

Dodała:

— Kto stracił wszystko, nawet nadzieję, tutaj w końcu kieruje swe kroki. Jest to miejsce przeklęte.

— Nie rozumiem pani.

— Tak, Maurycy Le Chars, pan mnie rozumie. Przybył pan tu, by umrzeć.

Zmierzył ją wzrokiem.

— Czy pani przypadkiem nie zamierza mi przeszkodzić?

Roześmiała się wzgardliwie:

— Ja, panu przeszkadzać? Nie, przyszłam by zebaczyć, czy nie braknie panu odwagi... Zdaje mi się, że już jej pan ma za mało. To skaza rodzinna.

— Nędznico — zawołał cały wzburzony, czy sądzisz, że ciebie nie znam?... Co tu czynisz? Dlaczego jawisz się, wabiąc wszystkich do śmierci? Czyż nie dość ci, że przez twą nikczemną przewrotność mój brat zginął?

— Tak, ja wywołałam śmierć pańskiego brata, ja doprowadziłam do rozpaczy kobietę, którą kochał, ja upokorzyłam markiza Morailles, ja go popchnęłam do zemsty nad własną żoną i ja zrujnowałam pana, gdyż za moją namową Morailles doprowadził pana do straty na akcyach, by potem dla odzyskania pieniędzy pobudzić pana do gry, ruiny i śmierci. Kto mnie wyzwał, ten zawsze odpokutował to na majątku, honorze, lub przypłacił życiem.

— I pani nigdy nie pomyślała o niewinnych, których gubisz? szepnął Maurycy blademi wargami... Co pani uczyniła księżna Storwicz? Czem panią wyzwała pani Morailles? Co pani zawiniła moja żona i dziecko?

— Mściłam się!... W nich, w panu, ścigałam wspomnienia pańskiego brata... Kroki swe znaczy-

łam żałobą i ruiną. Tem gorzej dla tego, kto się znalazł na mojej drodze.

— Łajdaczko! i nie znalazł się człowiek, któryby cię zgniótł, zdusił, zdeptał pod nogą!

Rozległ się znowu wyzywający śmiech Czarnej księżniczki.

— Nie, nikt się taki nie znalazł; książęta czołgali się przedemną. Starcy łkali z pragnienienia. Młodzi i piękni ginęli dla mnie. Kogóż mogę się obawiać?

— Tak, przeszłaś jak siła niszczycielska, lecz skąd wiesz, że i twoja godzina wkrótce nie wybije.

— Nie obawiam się starości, używałam życia, zaznałam wszelkich rozkoszy, jakie daje potęga, duma i pieniądz.

— I nie boisz się śmierci?

— Przyjdzie na mnie czas, jak i na wszystkich, jak teraz nadchodzi dla pana.

I z okrutną ironią dodała:

— Nawet już nadszedł, czy zapomina pan o nim?

— Nie, rzekł Maurycy dziko.

— Niech pan popatrzy, jaka tu głębia... Woda i skały... Jeden ruch i koniec. Na co pan czeka? Myślisz pan jeszcze o tych, których masz opuścić, o żonie, o dziecku brata, o tej niewinnej, wykwintnej markizie Morailles, jak zrozpaczona pomiędzy waryatami, przeklina swój los, wzywa pomocy śmierci.

— Tak — rzekł Maurycy głosem wolnym, poważnym. Pomoc śmierci! Ginąc, odkupuję swe winy. Jeżeli jest sprawiedliwość na świecie i pani odkupi swoje!...

Przy słowach tych rzucił się na nią, jedną ręką zdusił ją za gardło, drugą przytknął do ust, by nie krzyczała...

— Puść mnie, puść mnie! — zdołała jęknąć.

— Szatanie, nie licz na ocalenie! Ja umrę, lecz z tobą!...

I zanim zdołała uchwycić się parapetu, Maurycy w przystępie ataku nerwowego, schwycił ją wpół. Chwyciła się jego szyji i oparta swem ciałem o niego, starała się wyrwać z tego uścisku; zdołała jednak wydać tylko straszny okrzyk i oboje runęli w przepaść.

Rozległ się plusk wody, pokazała się piana. Nastąpiła znowu cisza i spokój.

Woda jak przedtem rozbijała się o brzeg kamienisty, skały dumnie piętrzyły swe wierzchołki ku górze, blask księżyca snuł się po powierzchni, a kwiaty wydawały swą odurzającą woń.

XXXIV.

OCALENIE.

Pani Morailles i Cockley byli ciągle uwięzieni w parku.

Próbowali wszelkich wyjść, lecz naprózno. Drzwi zamknięte na zasuwkę ani nie drgnęły. Cockley usiłował wyłamać zamek u stróża, daremny był jednak jego trud. Starał się przepiłować piłką od scyzoryka kraty w oknie, niczego jednak nie dokonał.

Pani Morailles spoglądała na niego z rozpaczą. Wreszcie gdy po raz trzeci wrócili do parku, rzekła mu z szlachetną dobrocią:

— Oby przynajmniej panu udało się stąd wyjść, lżej byłoby mi pozostać tu. Czy nie może wydostać się pan sam?

Po przyjrzeniu się drzewom, które rosły ponad murem, odpowiedział:

— Mógłbym.

— A więc niech się pan nie waha.

— Może nawet uda mi się ocalić i panią!...

W kilka chwil ze zręcznością kota wspiął się na drzewo, siadł na rozstrzepionej gałęzi i wyciągając z kieszeni dość duży, podróżny nóż, zaczął nacinać jedną jej odnogę.

Już pod jego naciskiem zgięła się ona aż do szczytu muru, gdy nagle pani Morailles ujrzała, jak Cockley zatrzymał się i szybko spuścił się na ziemię.

— Policyant, szepnął, widział mnie... zacznie teraz obserwować... znowu na nic! Co za pech!

A czas upływał niepowetowany.

— Ach! westchnął Cockley, nie jestem godzien siebie.

Jego upokorzenie było tak wielkie, żal tak żywy, iż pani Morailles wzięła go za rękę i rzekła:

— Cokolwiekby się stało, zawsze pozostanę panu wdzięczna.

W chwili tej, gdy Cockley zdecydował się znowu wejść na drzewo, uszu ich doszedł jakiś szmer, uderzenia regularne pod murem.

— Co to jest? przestraszyła się pani Morailles.

— Tak, jakby robotnicy kopali... tak, słyszy pani, jak ziemię wyrzucają?

Nagle o trzy kroki od nich zapadła się ziemia pod tajemniczemi uderzeniami.

Rozwarła się szeroka przepaść. Przez otwór ukazał się mały człowiek w bluzie robotniczej. Światło księżyca oświeciło jego twarz.

— Wiera Nespow — szepnęła pani Morailles w porywie radości.

— Tak, to ja — odrzekła młoda Rosyanka, która w tem przebraniu wydawała się jeszcze szczuplejszą. Przybyłam przed dwiema godzinami i oto jestem.

— Oh! Wiero, ocalasz mnie.

— Moi przyjaciele wykryli to przejście w ziemi pod murem... Umacniają go teraz, zaraz wysuniemy się przez nie.



Puść mnie!... puść mnie... — zdołała jęknąć.

Cockley, który trzymał się na uboczu, rzekł flegmatycznie:

— O, bardzo dobrze wykonane! Powinszować.

W tonie jego czuć było trochę zazdrości.

W kilku słowach pani Morailles wyjaśniła Wierze wszystko.

— Wiedziałam o tem... rzekła, kłaniając się zimno detektywowi.

Ten zawstydzony swojem niepowodzeniem, zwrócił się do pani Morailles:

— Winienem tylko przeprosić za sprawiony zawód i usunąć się od pracy, w której ma pomoc jest zbyteczna.

Wiera odpowiedziała uprzejmie:

— Innym razem pan Archibald Cockley będzie szczęśliwszy. Jeżeli pan pragnie nas opuścić, proszę tędy i wskazała na ciemny otwór.

Cockley — był to cios dla jego dumy — zawahał się, postąpił krok naprzód, cofnął się znowu w tył i nagle poczuł pod nogą twardy przedmiot.

Schylił się i podniósł go: był to klucz stróża. Wyjście, o które z takim trudem dobijał się, zostało zapewnione.

— Dziękuję — rzekł — wypadek otwiera mi drzwi. Będę tylko dyskretnym i bezczynnym świadkiem. Za dwadzieścia jednak minut czwarta, dodał, spoglądając na zegarek, za pięć minut psy zostaną spuszczone. Proszę się spieszyć.

I oddalił się w stronę mieszkania stróża, gdzie otworzył sobie drzwi. Pani Morailles objęła rękami Wierę i przycisnęła ją do piersi.

— Oh! Wiero!... Mogłam więc liczyć na ciebie!...

— Spodziewam się, żeś nie wątpiła o mnie.

Nachylając się do otworu, rzekła:

— Już skończone?

— Chwilę cierpliwości, ziemia sypie się; podpieramy ją drzewem, odezwał się jakiś głos męski.

— Boże! tam światło — rzekła nagle markiza, drżąc cała.

— Tak, jakiś człowiek wychodzi z pawilonu.

— Poznaję go, to stróż... Nie widzi nas... Idzie spuścić z łańcucha psy... Wiero, prędzej, lub jesteśmy zgubieni!

Wiera rzuciła kilka rozkazów i powiedziała coś po rosyjsku.

Z otworu ukazała się głowa szewca Simoni. Wyszedł na powierzchnię, a potem zwracając się ku przejściu, rzekł do kogoś, co po pochylony czołgał się na wierzch.

— A więc proszę, kiedy pan tak ciekawy...

Ukazała się nowa głowa: był to detektyw Bop w policyjnem ubraniu. Patrolując w okolicy, już od pół godziny zauważył tę szopę mularską i robotę koło niej; wydało mu się to podejrzanem, zwłaszcza, że w przebranym robotniku poznał Wierę.

Pamiętał jeszcze porażkę u doktora Morane i obudzenie się nocą na przemokłej trawie.

Wiera Nespow! Dawno już jej szukał, ponieważ teraz wypadek wprowadził go na dobry ślad, nie puści jej, lecz odrazu aresztuje.

Co za zaszczyt dla niego!

— Ajent policyi — przedstawił się krótko — proszę iść za mną.

Zaintrygowany podziemną pracą, zapytał naprzód Sinoniego, co on i jego towarzysz tutaj robią:

— Reparacya... rura wodociągowa.

— Chciałbym to widzieć z bliska.

— Proszę bardzo, kiedy tak bardzo życzy pan sobie tego.

Teraz ajent, widząc, że się nie ruszają, powtórzył kozkaz.

— Czy państwo słyszycie? Proszę za mną!

— Bardzo chętnie — odparł Simoni, w którym Joanna nie poznałaby nigdy szewca z Vauchart, tak wydawał się młodym i zmienionym. Panie naprzód.

I stając koło ajenta, dał znak pani Morailles i Wierze.

Jednocześnie na wierzchu ogrodzenia ukazała się jakaś postać, mężczyzna w cylindrze z siwiejącymi wąsami, który siadł sobie wygodnie, jakby na przedstawieniu w pierwszym rzędzie foteli.

Był to Cockley, który przybiegł szybko z drugiej strony. Po latarni dostał się na mur, zgasił ją, by światło przypadkiem nie zdradziło go, a w ręku trzymał linkę z pentlicą; tak usadowiony przyglądał się całej scenie.

Wiera wskazała naprzód drogę pani Morailles, a gdy ta znalazła się bezpieczna z tamtej strony muru, zwróciła się do Sinoniego:

— Idź!

Nie ruszył się.

Gdy spostrzegł przedtem latarnię stróża, domyślił się, iż wymknął się on z pawilonu Huchssettsa i udał się po psy, by naprawić swoją porażkę poprzednią.

Bop, na ten głos spadający jak z nieba, podniósł zadziwiony oczy do góry.

— Idź! rozkazała znowu Wiera.

Nie można sprzeciwiać się woli Wiery. Mimo niechęci wsunął się do otworu i lekkiem gwizdnięciem dał znać, że już przeszedł.

— Teraz na pana kolej, odezwała się Wiera do policyanta.

W chwili tej jednak rozległ się trzask i ziemia zawaliła się; przejścia już nie było.

— Psy! psy!... Wdrapuj się pan na drzewo, zawołał Cockley do Bopa. Prędzej, jeżeli chce pan zostać cały. Buldogi rozszarpią. O! już jeden spuszczony! Za nim drugi! Prędzej, *by Jove!* albo zostanie pan pożarty.

(Dokończenie nastąpi).

Nadzwyczajna tresura.

Człowiek, „pan stworzenia", siłą swej inteligencyi zdołał już w zamierzchłych wiekach przeszłości ujarzmić wiele dzikich zwierząt i uczynić z nich pożyteczne zwierzęta domowe. Ale od najdawniejszych czasów ludzie odczuwali potrzebę tresowania także takich dzikich zwierząt, które na zwierzęta domowe nie dadzą się nigdy zamienić, a z których praktycznych korzyści ludzkość mieć nigdy nie może. Jedynym celem podobnej tresury jest zabawa, wynikająca z niezwykłego widoku, jakie przedstawiają mniej lub więcej dzikie bestye, które spełniają rozmaite funkcye, sprzeczne z ich naturą i usposobieniem.

W dzisiejszym numerze podajemy obrazek, świadczący, do jakich rezultatów doprowadzić może cierpliwość, połączona z energią przy tresowaniu zwierząt. Widzimy na nim amerykańską pogromczynię zwierząt, miss Charles, która ku wielkiej uciesze publiki produkuje się po cyrkach z nadzwyczajną tresurą lwów, tygrysów, panter i t. d. Między innemi, doprowadziła ona do tego, że potężny, młody lew, wprzągnięty do wózka wraz z olbrzymim dogiem, obwożą ją po arenie. Widowisko to budzi prawdziwy entuzyazm wśród widzów amerykańskich. I rzeczywiście, miss Charles okazuje duży talent *sui generis*, skoro lew jest jej posłuszny, nie zostając ciągle pod grozą bata i rewolweru, jak to się dzieje przy innych tego rodzaju produkcyach.



Nadzwyczajna tresura: Miss Charles na wózku, ciągnionym przez lwa i doga.

Krajowy kurs szewski.

Staraniem i kosztem Wydziału krajowego a z inicyatywy krajowej komisyi dla spraw przemysłowych, odbył się w Żywcu sześciotygodniowy kurs majsterski dla szewców. Do kosztów utrzymania kursu przyczyniły się subwencyami: gmina miasta Żywca, Rada powiatowa, rząd i stowarzyszenie przemysłowe szewców w Żywcu.

Kurs odbywał się w szkole ludowej męskiej. Nauka była całodzienna i obejmowała następujące przedmioty: budowa stopy i jej wpływ na formę obuwia, geometrya, rysunki zawodowe, kroje zawodowe, branie miary, towaroznawstwo, nauka szycia na maszynach, kalkulacya, odlewy gipsowe nóg, wyrób kopyt, sporządzanie wierzchów i spodów.

Kurs zakończono w połowie sierpnia wystawą, która dała dokładny obraz toku nauki na kursie: oprócz doborowego obuwia, wykonanego przez uczestników, były tam starannie wykonane kroje, rysunki, prace stylistyczne i buchalteryczne, odlewy gipsowe nóg normalnych i anormalnych, kopyta — a wszystko świadczyło o pilnej i gorliwej pracy. Były także pomocnicze maszyny szewskie i skóry wszelkiego rodzaju. Rycina nasza przedstawia grono uczestników kursu wraz z nauczycielami.

W krainie Księcia wiernych.

Kampania, rozpoczęta tak nierozważnie przez Hiszpanów w Afryce północnej, przeciąga się niesłychanie. Ściąganie sił odpowiednich, gromadzenie potrzebnego prowiantu i materyału wojennego, marna organizacya wojskowa, a wreszcie niepopularność w kraju wyprawy do Er Rifu i brak środków finansowych — wszystko to sprawia, że naczelny wódz hiszpański, gen. Marina, jeszcze nie przeszedł do zapowiadanej od dwóch tygodni offenzywy.

Na tej zwłoce korzystają oczywiście Berberowie, uzupełniając swe zapasy broni repetyerowej i amunicyi, w czem, jak wiadomo powszechnie, Niemcy pokryjomu są im wielce pomocni, chociaż wypierają



Krajowy kurs szewski: Grono uczestników wraz z nauczycielami.



W krainie Księcia wiernych: Pogrzeb berberyjski.

się tego urzędownie. Na czem się skończy ta impreza hiszpańska, trudno w tej chwili przewidzieć. To tylko jest pewnem, że narazi ona biedną Hiszpanię na stosunkowo olbrzymie wydatki, może ją wciągnąć w zawikłania międzynarodowe, a w najlepszym razie rezultatem jej będzie utrzymanie *status quo* z przed rozpoczęcia kroków wojennych. W jaki zaś sposób prowadzona jest obecna wojna przez nominalnych poddanych Księcia wiernych — oficyalny tytuł sułtana marokkańskiego — świadczy fakt następujący. Ubiegłego tygodnia hiszpański gen. Martinez wpadł wraz z 40 żołnierzami w ręce Berberów. Gdy w kilka dni później chciał gen. Marina wykupić tych jeńców, odpowiedzieli mu, że zapóźno się zgłosił, bo jeńcy, rzekomo dla oszczędzenia żywności, zostali wystrzelani. W odpowiedzi na to Hiszpanie nie dają także pardonu żadnemu wziętemu do niewoli Berberyjczykowi. Jest to zatem najdzikszy sposób prowadzenia wojny.

W dalszym ciągu ciekawych a oryginalnych zdjęć, jakie podaliśmy w poprzednim numerze naszego pisma, umieszczamy dzisiaj inne — illustrujące życie i obyczaje na marokkańskiem pobrzeżu morza Śródziemnego. Jedno z nich przedstawia pogrzeb tubylca. Trumna, w kształcie zwykłej skrzyni, ze zwłokami zmarłego Berbera stoi na ziemi, w orszaku pogrzebowym, stosownie do zwyczajów muzułmańskich, niema kobiet. Aczkolwiek Berberowie są przeważnie ludem osiadłym, jednakowoż niektóre ich szczepy prowadzą żywot koczowniczy, jak to widać na innem zdjęciu, przedstawiającem ich obóz, rozbity w niewielkiej odległości od Melilli. Z pomiędzy licznych szczepów, na jakie dzielą się Berberowie, kilka pozostało wiernych przymierzu, zawartemu dawniej z Hiszpanami. Jeden z takich szczepów, przygotowany do wyruszenia w pole, przedstawia następne zdjęcie. Wreszcie na ostatniem widzimy ubogie dzieci maurytańskie, spędzające dni całe na ulicach Cunty, największego z *presidios* hiszpańskich na wybrzeżu marokkańskiem.

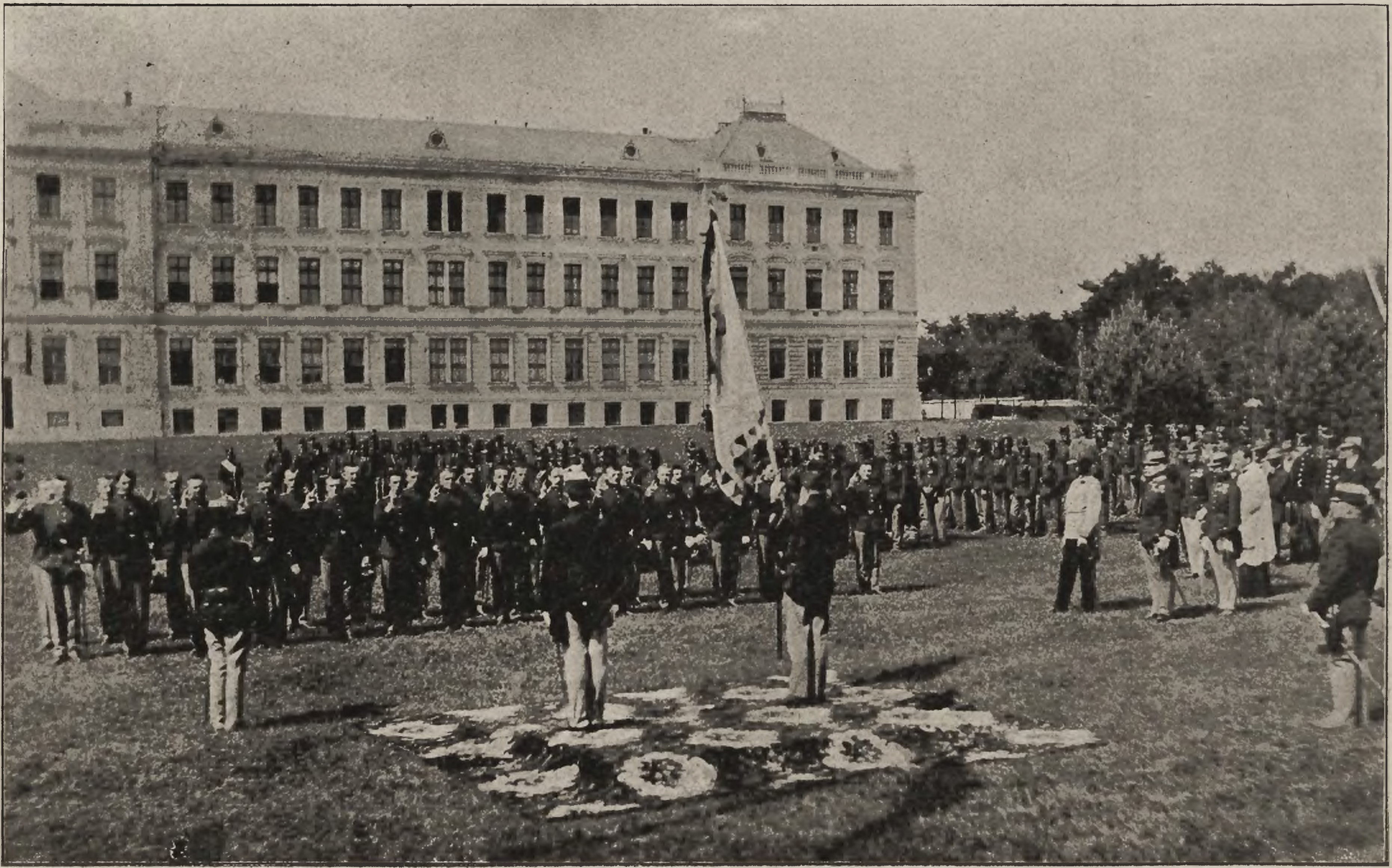
Nowi chorążowie.

Ze zwyczajną uroczystością odbyło się w ubiegłym tygodniu, w dniu urodzin cesarza, zaprzysiężenie nowomianowanych chorążych, elewów wszystkich szkół kadeckich w państwie.

Także w lwowskiej szkole kadeckiej, położonej na wzgórzu Stryjskiem, zaprzysiężono zastęp nowych chorążych, którzy za kilka tygodni, po urlo-



W krainie Księcia wiernych: Jeden ze szczepów berberyjskich, wierny Hiszpanom.



Nowi chorążowie: Zaprzysiężenie nowych chorążych w szkole kadeckiej we Lwowie. Fot. M. Münz, Lwów.

pie, przyznanym im przez władze przełożone, rozpoczną pełnić służbę przy swoich pułkach.

Uroczystość w lwowskiej szkole kadeckiej rozpoczęła się nabożeństwem w kaplicy zakładowej, poczem nowi chorążowie, oraz starsi i młodsi wychowankowie szkoły, wyruszyli przy dźwiękach orkiestry na podwórze, gdzie zebrani byli oficerowie kilku pułków, profesorowie szkoły oraz jeden z jenerałów, nadto grono publiczności, przeważnie rodziny wychowanków szkoły.

Tam wygłoszono do nowych chorążych kilka przemów, poczem odbył się sam akt zaprzysiężenia. Nowomianowani złożyli wszyscy szable ostrzami na krzyż i powtarzali słowa roty przysięgi. Następnie orkiestra odegrała hymn ludowy, a na zakończenie odbyła się defilada kompanii honorowej przed jenerałem i oficerami.

Zdjęcia nasze przedstawiają dwie sceny z tej uroczystości.

Z Krety.

Sprawa wyspy Krety, która nominalnie należy do Turcyi, a w gruncie rzeczy jest niezależną i która za każdą cenę pragnie połączyć się z Grecyą, stanowi wciąż groźbę dla pokoju na południowym wschodzie Europy. Dopóki mocarstwa opiekuńcze utrzymywały na tej wyspie swe załogi, zarówno Turcya, jak Grecya i sami Kreteńczycy musieli zadawalniać się istniejącym stanem rzeczy. Gdy jednak w końcu ubiegłego miesiąca załogi te opuściły Kretę, mieszkańcy jej wywiesili w Kanei flagę grecką, czem zadokumentowali swe przyłączenie do królestwa greckiego, co już zresztą dawniej uchwalił parlament kreteński. Wprawdzie na żądanie mocarstw opiekuńczych flagę tę zdjęto i zrąbano maszt, na którym była wywieszoną, ale skoro tylko międzynarodowy oddział wojskowy, który tego dokonał, ląd opuścił, flagę grecką znów wywieszono na nowym maszcie.

Fakt ten wywołał w Turcyi kolosalne oburzenie. Koła miarodajne w Konstantynopolu oświadczyły stanowczo, że żadnych dalszych ustępstw w sprawie kreteńskiej nie poczynią i że Turcya postanowiła utrzymać swe prawa zwierzchnicze nad Kretą. Jakiekolwiek koncesye w tym kierunku równałyby się — ich zdaniem — samobójstwu Turcyi, która wyrządziła sobie dość krzywdy sama, ustępując w sprawie aneksyi Bośni i Hercogowiny oraz w sprawie ogłoszenia niepodległości Bułgaryi.

Do tego trzeba dodać, że od czasu, gdy Młodoturcy przyszli do władzy, w całem państwie Osmanów objawił się silny prąd antigrecki. Młodoturcy bowiem nie bez racyi upatrują w Grekach, licznie zamieszkujących Turcyę, żywioł jej wrogi a grawitujący ku niezależnemu greckiemu królestwu. Armia zaś turecka, pomimo zwycięstw, odniesionych nad Grekami przed jedenastu laty, pragnie gorąco jeszcze raz zmierzyć się z nimi a to tem więcej, że wówczas interwencya mocarstw nie pozwoliła Turcyi na wyzyskanie zwycięstwa. Wedle jednozgodnych doniesień z Konstantynopola rząd turecki poczynił daleko sięgające zarządzenia wojskowe nad granicą grecką, tak że każdej chwili jego armia może wkroczyć do Epiru i Tessalii.

Należy się wprawdzie spodziewać, że energiczne przedstawienia, poczynione przez przedstawicieli mocarstw europejskich tak w Atenach, jak i w Konstantynopolu, narazie powstrzymają wybuch zbrojnego konfliktu między dwoma przeciwnikami o tak nierównych siłach, ale czy na długo — to wielkie pytanie.

Załączone ryciny przedstawiają: pułk żuawów, którzy stanowili za Abdul-Hamida przyboczną gwardyę sułtańską, podczas defilady, oraz żandarmeryę kreteńską, której instruktorami byli dawniej ofice-



Z krainy Księcia wiernych: Obóz Berberów w okolicach Melilli.



Fot. M. Münz, Lwów.

Nowi chorążowie: Wzniesienie okrzyku na cześć cesarza po przysiędze.

rowie włoscy. Dziś żandarmeryi tej, a także i milicyi miejscowej, instruktorami są oficerowie i podoficerowie greccy. W razie wybuchu rewolucyi na Krecie żandarmerya i milicya, dobrze wyćwiczone, stanowić będą niezawodnie kadry dla wojsk powstańczych.



W krainie Księcia wiernych: Dzieci maurytańskie na ulicach Cuuty.

Dzielna młodzież.

Macierz szkolna w Cieszynie otrzymała w tym roku hojny dar. Mianowicie dyrektor tamtejszego towarzystwa zaliczkowego, Adam Sikora, ofiarował na jej rzecz obszar gruntu pięciomorgowy, położony nad rzeką Olzą, wartości 15.000 kor., przeznaczając go na park dla polskiej ludności.

Ponieważ grunt ten wymaga obrobienia, a funduszów na to brakło, przeto młodzież polska w Cieszynie, uczniowie gimnazyum polskiego, seminaryum i szkoły wydziałowej, wzięli się sami do pracy nad założeniem alei, ścieżek, zasadzeniem drzew, klombów itd.

Do ciężkiej tej ale szlachetnej pracy zgłosiło się bardzo wielu uczniów, tak że z powodu szczupłej ilości narzędzi, musiano ochotników podzielić na na kilka partyi, które kolejno pracują nad urządzeniem parku. Serce rośnie na widok zapału i ochoty, z jaką młodzież pracuje przy rydlu i taczce, przyczyniając się w miarę swych sił do powiększenia dobytku narodowego na Śląsku.

Z rycin naszych, jedna przedstawia ogólny widok gruntu, przeznaczonego na park, wraz z częścią stawu, który będzie jego prawdziwą ozdobą, druga grono młodzieży przy pracy nad obrobieniem parku. Obok stoją pp. Adam Sikora, ofiarodawca i Józef Tabeau, nauczyciel cieszyńskiej szkoły wydziałowej, który kieruje pracą młodzieży.

Zamieszczając te ryciny wraz z objaśnieniem, apelujemy do naszych Czytelników, by wsparli usiłowania młodzieży cieszyńskiej, ofiarowując najskromniejsze choćby datki na cel parku, posyłając je wprost na ręce Macierzy szkolnej.

Katastrofa balonu.

Obok hr. Zeppelina zdobył w Niemczech wielką sławę, jako wynalazca balonu ze sterem, major Parseval, którego balony już niejednokrotnie odbywały dłuższe podróże z zupełnem niemal powodzeniem.

W ubiegłym tygodniu jeden z jego balonów, zwany „Parseval III“, uległ jednak katastrofie, która tylko dzięki szczęśliwemu przypadkowi zakończyła się uszkodzeniem powłoki i gondoli, a nie pociągnęła za sobą ofiar w ludziach, mimo że podówczas 11 osób znajdowało się w łódce balonu.

Balon „Parseval III“ wzniósł się w ubiegłym tygodniu w górę z Frankfurtu nad Menem, gdzie obecnie odbywa się wystawa aeronautyczna; kierował nim porucznik Stelling, a w gondoli zajęło miejsce 11 osób, w tem kilka pań. Już z początku wzlot balonu nie był prawidłowy, gdyż nietylko przeszkadzał silny wiatr północno-zachodni, ale i gaz okazał się zużytym i niedość silnym. Mimo to zdołano wznieść się dość wysoko i balon poszybował ku Homburgowi.

Po niespełna godzinie ukazał się „Parseval III“ znowu na horyzoncie i zbliżył się do Frankfurtu. Kierownik zamierzał początkowo wylądować w pobliżu dworca towarowego, w tym celu spuścił w dół kotwicę, którą ujęło mnóstwo rąk publiczności, zgromadzonej w owem miejscu. Wnet jednak rozległ się głos komendy, wzywającej do puszczenia liny kotwicowej, a równocześnie balon wzniósł się znowu w górę, gdyż kierownik jego postanowił wylądować na placu wystawy, położonym w odległości niespełna 400 m.

W czasie jednak dalszej podróży uległ fatalnemu przypadkowi. Oto natknął się w drodze na dach wysokiego bardzo budynku, tak że gondola i ster balonu wlokły się po jego powierzchni, przyczem obalono kominy, ale równocześnie gromochron przedziurawił powłokę balonu. Gaz począł gwałtownie uchodzić, wobec czego dalsza podróż była niemożliwa, a olbrzymi balon opadł wolno w dół, wyrządzając przytem swym ciężarem nowe jeszcze szkody na budynku.

Na szczęście pasażerowie, zebrani w gondoli, wyszli zupełnie cało, balon natomiast odniósł bardzo poważne uszkodzenia, tak iż naprawa potrwa dłuższy czas.



Praca nad uruchomieniem parlamentu: dr. Stanisław Głąbiński, prezes Koła polskiego.

Mimo tego wypadku, Niemcy są pełni ufności, że wynalezione przez ich ziomków, hr. Zeppelina i majora Parsevala, balony odniosą zwycięstwo nad aeroplanami i gotują się do uroczystego powitania hr. Zeppelina, który w tych dniach ma dotrzeć powietrzem do Berlina.

* * *

Na rycinach naszych widać balon „Parseval III“ podczas lotu, a na drugiej po wypadku na jednej z ulic Frankfurtu.



Z Krety: Żuawi sułtańscy podczas defilady.



Z Krety: Żandarmerya kreteńska i jej instruktorzy.

G. DE TE'RAMOND.

W OBRONIE HONORU.

(TAJEMNICZY NIEZNAJOMY).

12 (Ciąg dalszy).

A zwracając się do Żanetki, rzekł:

— A więc panienka nie chce... a może — dodał ironicznie — nie może nic powiedzieć?...

Potrząsła przecząco głową.

— Nic nie szkodzi... obojętne to dla mnie... będzie się pani tłomaczyła przed sędzią śledczym...

Gdy spojrzała na niego przerażona, szepcąc cicho:

— Przed sędzią śledczym?

Potwierdził:

— Ma się rozumieć, gdyż aresztuję teraz panią, jako wspólniczkę człowieka, który przed chwilą był tutaj...

— Jaką wspólniczkę?

— Zabójstwa kapitana Fraskopelly.

Wobec tej wiadomości Żanetka nie mogła powstrzymać okrzyku zdziwienia:

— Kapitan został zabity?

— Niby panienka nie wiedziała o tem? — szydził inspektor.

— Nie, proszę pana... Kiedy zabity?... Gdzie?... Przez kogo?...

— W restauracyi... przez nieznanego sprawcę... podczas obiadu, gdy ogłaszał swe zaręczyny z panią... Aha!... Teraz już pamięć powraca!

Biedna sierota była jak oszołomiona tem wszystkiem, co słyszała... Przypominając sobie słowa nieznajomego, jakie wyrzekł przed odejściem, pytała się siebie, czy to nie on po wyrwaniu jej z rąk napastników, ocalił znowu przed sidłami kapitana, zabijając go... Kim więc on jest, ten tajemniczy protektor, usuwający z przed niej wszelkie niebezpieczeństwa?... Czyż to ten, o którym jej ojciec wspominał przed śmiercią?...

— Panie — rzekła drżącym głosem — przysięgam, że nic nie wiedzi łam... nigdy nie czytam dzienników... skądże mogłam wiedzieć?...

— Dosyć!... Dosyć!... — przerwał Lapipe — dosyć tego gadania... będzie pani zapewniała o tem sędziego... on ma czas... wysłucha wszelkich bzdurstw.

Zawołał agenta i rozkazał:

— Kajdanki i na policyę...

Żanetka cofnęła się, chowając mimowolnie ręce za siebie.

— Panie!

— A jutro do więzienia w celkowym wozie...

Młoda dziewczyna zbladła. Było to dla niej największą hańbą... widziała jak wywozili z komisaryatu nieszczęśliwych, a zebrany tłum śmiał się...

I tę męczarnię ma jej zadać ten człowiek... ma ją zniesławić!... I za co?... Jakiem prawem?... Co ona uczyniła?...

Złożyła błagalnie ręce.

— Tylko nie to, proszę pana!... Tylko nie to!...

Inspektor nie raczył nawet jej odpowiedzieć.

— Prędzej! — rzekł do agenta.

Wtedy Żanetka wyprostowała się, spojrzała w oczy Lapipowi i z jakąś heroiczną rezygnacyą wyciągnęła naprzód ręce.

— Panie — odezwała się — jest to niecne, co pan czyni!

— Zabrać ją! — odparł niewzruszenie inspektor.

Aresztowanie Żanetki rozniosło się po całym domu. Sąsiedzi wybiegli do okien i na schody, komentując szeroko ten niespodziewany dla siebie wypadek. Gdy Żanetkę przeprowadzano koło mieszkania stróżki, staruszka pełna oburzenia chciała ją wyrwać z rąk agenta, lecz pośpieszyli mu na pomoc jego koledzy i zagrozili, że i ją zabiorą z sobą.

— Tak, tak — krzyczała — bierzcie i mnie z tym aniołkiem... bierzcie, ja powiem komisarzowi... ona jest niewinna i czysta, jak nowonarodzone dziecko!... Chryste Panie, o co ją oskarżacie?...

— Niech pani się nie boi, moja dobra pani Bourju — rzekła młoda dziewczyna — będą musieli mnie puścić... za godzinę będę z powrotem...

To zapewnienie uspokoiło staruszkę, dodała jednak:

— A jeżeli ci niegodziwcy zatrzymają cię dłużej, mój aniołku?

— Niech się pani Bourju zaopiekuje Fifi, pani ją polecam.

Tymczasem Lapipe wyszedł do strażników, którzy rewidowali cały dom i wypytywali lokatorów. Nigdzie jednak nie natrafiono nawet na ślad nieznajomego. Którędy wyjść uciekł? Wszystkie wyjścia były przecież strzeżone!

— To niezrozumiałe w istocie — zawołał Lapipe. — Którędy on mógł się wymknąć?

Brygadyer policyi uśmiechnął się pod wąsem.

— Według mego zdania, panie inspektorze, to on musiał wybrać kocią drogę.

Lapipe wspiął się aż na szóste piętro i wyjrzał przez okienko na strychu.

— Musi on być dyablo zręczny, ten opryszek! — mówił zadyszany — dach jest spiczasty... dwadzieścia razy można złamać kark, zanim się dodrapie do pierwszego komina!... Brygadyer ma racyę, ale nie będziemy narażali swoich ludzi w tych ciemnościach... Jutro rano strażacy przeszukają dach... Niech brygadyer pilnuje przez noc, aby nie umknął z powrotem tą samą drogą...

Po wydaniu ostatnich rozporządzeń, Lapipe siadł do dorożki i odjechał do policyi.

Paweł de Vareilles uciekł istotnie przez dachy sąsiednich domów. Świeże nocne powietrze uspokoiło cokolwiek jego wzburzony gniewem umysł.

— Za daleko jednak posunąłem się — myślał, powracając do domu. — Mimowoli jestem teraz w walce z policyą... tego tylko było potrzeba jeszcze do skazania mnie zaocznie. Może jednak ten biedny Lapipe wybaczy mi swą jazdę przez okno, o ile się tylko bardzo nie potłukł!... Teraz trzeba ocalić nieszczęśliwą Żanetkę... Reginald Farweth przeżył już swój czas... teraz zamknę się znowu, dopóki mój adwokat nie uzyska unieważnienia wyroku tulońskiego, bym mógł z podniesioną głową wejść między ludzi...

XIII.

Na śledztwie.

Sędzia Rodanet, któremu oddano sprawę przeciw nieznanemu zabójcy kapitana Fraskopelly, przyjął ją z wielką niechęcią, cały bowiem swój czas miał zajęty badaniem aktów dusicielki dzieci z Pont de-Flandre i sławnego oszusta, fabrykanta sztucznych brylantów, o czem w tym czasie rozpisywały się szeroko wszystkie dzienniki. Z niechęcią też i z widocznem znudzeniem zadawał pytania młodej dziewczynie, w której inspektor Lapipe upatrywał wspólniczkę mordercy kapitana. Nie chciała ona przyjąć pomocy żadnego adwokata, na wszystkie zaś kwestye odpowiadała z płaczem, że nic nie wie.

Pan Rodanet był bardzo tem zakłopotany. Mimo sceptycyzmu sędziego, który w swem długoletniem urzędowaniu za dużo widział, by dać się złapać na zapewnienia podsądnego o swej niewinności, czuł się mimowoli wzruszony akcentem szczerości Żanetki? Jak wytłomaczyć, że ta biedna hafciarka została wmieszana do zbrodni, spełnionej w wielkim świecie? Znaleziono świadczący przeciw niej list w portfelu kapitana, lecz czyż zabójca, świadek niezrozumnego zakładu hrabiego, nie mógł go napisać umyślnie, by wprowadzić w błąd policyę, co do pobudek tej zbrodni?

Mimo wszelkich wspólnych cech wszystkich zbrodni, jakie w ciągu roku popełniono, a których sprawców nie odkryto, nie można przecież było przypisywać ich jakiejś jednej tajemniczej osobie, ciągle wymykającej się bezkarnie z rąk policyi! A jeżeli inspektor jest na dobrej drodze? Bywały jeszcze dziwniejsze wypadki, jeżeli więc Lapipe nie myli się, to w takim razie wpadłaby mu w ręce niezwykle sensacyjna sprawa, której rozwikłanie stanowiłoby jego zasługę i zjednałoby mu powszechne uznanie.

Nie wiedząc ostatecznie, na którą stronę przechylić się, niezdecydowany, wahający się ciągle pan Rodanet postanowił przed podpisaniem polecenia wypuszczenia na wolność młodej dziewczyny, zawezwać ją znowu do swego gabinetu i jeszcze raz wybadać. Od chwili osadzenia swego w więzieniu Saint-Lazare, Żanetka żyła w ciągłem przerażeniu. Łzy płynęły jej bezustannie z oczu i mimo pociech dozorczyń, które nie mogły pogodzić się z myślą, by to biedne stworzenie było winne, oddawała się rozpaczy i zwątpieniu. Ile razy musiała wchodzić do wozu celkowego, by udać się do sędziego, zawsze cofała się mimowoli w przestrachu i dopiero strażnik zmuszony był popychać ją, by weszła do środka.

Dnia tego sędzia Rodanet, oczekując jej przybycia, kończył ze swym pisarzem wyciąg z raportu inspektora Lapipa. Pan Rodanet, który uchodził za jednego z najbystrzejszych sędziów śledczych, miał swoje *idée fixes*. Utrapieniem jego był pisarz. Uważał go za głupiego i powolnego, lecz prawdę mówiąc, codzienne zapisywanie od rana do wieczora aktów śledczych, nie mogło rozwinąć w biednym pisarzu ani inteligencyi ani bystrości. Co chwila też niecierpliwy sędzia przerywał swe dyktowanie bolesnymi wykrzyknikami, jakby brał niebo na świadka cierpień, jakie musi znosić przez swego pomocnika.

— Dalejże, panie Perlevel... na czem pan stanął?... Pańskie ostatnie słowo?.. Ostatnie słowo zdania, panie Perlevel?... Także pan chce, bym ja w tych warunkach pamiętał zaczętą myśl?... Błagam pana, niechże pan się spieszy, panie Perlevel!...

Scena ta była nadzwyczaj komiczna, ale stary pisarz, przyzwyczajony do podobnych, ani nie myślał o szybszem pisaniu. Gniew pana Rodanet wzmagał się i miał wybuchnąć wyrzutami, gdy lekkie pukanie do drzwi wstrzymało go.

— Proszę! — rzekł gderliwie.

Między uchylonemi skrzydłami drzwi ukazał się człowiek w liberyi posługacza biurowego i rzekł:

— Pan prokurator pragnie widzieć się z panem sędzią.

Pan Rodanet wstał zaraz.

— Dobrze, idę!

— Hm, to nie był Prosper — szepnął pisarz, gdy został sam.

Po chwili dodał:

— Bez wątpienia dostał urlop... temu się wiedzie... i jabym to zrobił... a nie pleśniał tutaj!...

Rozmawiając tak półgłosem z sobą, wyjął z szuflady paczkę tytoniu i bibułkę i skręcił papierosa. Potem zwinął kawałek papieru, zapalił go od ognia w kominku i przyłożył do papierosa. W chwili jednak, gdy z roskoszą zaciągnął się dymem, otworzyły się znowu drzwi i wszedł przez nie jakiś adwokat.

— Niema pana Rodaneta?

— Nie, panie mecenasie — odparł spiesznie pisarz — ale zaraz wróci... wezwał go do siebie pan prokurator... może pan mecenas zechce poczekać?

— Nie mam wiele czasu... muszę spieszyć na obronę do ósmej sali... zresztą potrzebuję tylko małej informacyi...

— Może mógłbym ją dać?

— Jest pan bardzo uprzejmy... spieszę się... Czy pan Rodanet niema sprawy Silvarata?

— Nie przypominam sobie tego nazwiska, ale zaraz sprawdzę.

Pisarz zaczął przeglądać skrzętnie plik papierów, leżących na stole sędziego.

— Przepraszam, jak się nazywa?

— Silvarat...

— Nie, niema nic — odrzekł po chwili, widząc jednak zawiedzioną minę adwokata, dodał — poszukam jeszcze w szafie.

Lecz gdy skierował się w róg pokoju, adwokat podszedł do biurka. Mimo pozornego spokoju wielkie krople potu spływały mu po czole, zdradzając wielki wysiłek woli i panowania nad sobą.

Był to Paweł de Vareilles. Aż do chwili, gdy publicznie zostanie obmyty z hańby, jaką go okrył dawny wyrok, musi przebywać w ukryciu. Policya była już na jego śladach. Najmniejsza nieroztropność mogła go zdradzić, wiedział zaś, że raz schwytany, zostanie bez wysłuchania wysłany na ciężkie roboty. Nie mógł jednak żyć bez Żanety. Nie taił już przed sobą, że ją kocha, że pragnie, aby ta biedna hafciarka pozostała jego żoną: w ten sposób, najmilszy dla siebie spłaciłby dług, zaciągnięty względem jej ojca. Sędzia jednak nie spieszył się z jej uwolnieniem. Postanowił więc wyrwać ją z więzienia i w tym celu w dniu, w którym została wezwana do pana Rodaneta, zjawił się w sądzie w przebraniu adwokata. Udało mu się wybiegać z gabinetu sędziego i teraz próbuje wykonać trudny projekt, który obmyślił.

Szybko rozejrzał się w koło, by upewnić się, czy nikt na niego nie patrzy i wyciągnął rękę do biurka. Z pośród stosów papierów i druków sądowych, wysunął rozporządzenie uwolnienia, potem schwycił kopertę z nagłówkiem Trybunału pierwszej instancyi i schował to w fałdach swej togi.

W chwili tej odwrócił się pisarz.

— I tutaj niema nic, panie mecenasie.

Paweł de Vareilles zaledwie zdołał zrobić krok w tył i udając wielkie niezadowolenie, rzekł:

— Ach, jaka szkoda... musiała zajść jakaś pomyłka... przyjdę jeszcze po sprawie...

— Dobrze, panie mecenasie — odrzekł pisarz i kłaniając się nisko, odprowadził go aż do drzwi.

— Coraz, to nowe jakieś twarze — mruczał, zapalając znowu papierosa. — Ilu, to jest tych adwokatów!... Nic dziwnego, że tak trudno im zarobić na życie i że w kancelaryach sędziów muszą wyłapywać klientów!... Ja wolę swoje miejsce... nie biegam wprawdzie, gdzie chcę, jak pies z wywieszonym językiem, to prawda... ale zato w końcu miesiąca otrzymuję swoje, a to także coś warte!...

Nie skończył jeszcze swego monologu, gdy pan Rodanet powrócił do gabinetu.

Był wściekły.

— Nie rozumiem tego zupełnie — mówił ze złością. — Pan prokurator wcale mnie nie prosił...

— Zapewne pomylono się — odparł pisarz, którego ta omyłka bardzo bawiła — zresztą pan sędzia zapewne zauważył, że to nie był Prosper, woźny pana prokuratora...

Rodanet ani na chwilę nie chciał przypuszczać, że z niego zakpiono.

— Tak, to prawda!... — rzekł — ale po co mnie fatygowano bez celu?...

Zagłębił się znowu w aktach i dodał:

— Bierzmy się do roboty, panie Perlevel... ta Levasseur już przybyła... w przeciągu pół godziny muszę skończyć badanie jej, mamy jeszcze sprawę dusicielki... pańskie ostatnie słowo, panie Perlevel?... Ostatnie słowo zdania... prędzej, bo my nigdy tego nie skończymy... błagam pana, panie Perlevel, na czem pan stanął?

W długim korytarzu, na który wychodziły drzwi gabinetów sędziów, siedziała na ławce pod strażą dozorcy Żanetka i czekała na wezwanie pana Rodaneta. Kryjąc zapłakaną twarz w chustkę, nie zwracała najmniejszej uwagi na przechodzących i nie zauważyła też, że zbliża się ku niej jakiś adwokat. Był to ten sam, który przed chwilą wyszedł od pana Rodaneta. Z końca korytarza widział, że sędzia wrócił już do siebie, pośpieszył też zaraz do Żanetki. Dozorcy, odprowadzający oskarżonych, mieli nakaz zabraniania im wszelkich rozmów, ustalił się jednak zwyczaj, że dla adwokatów czyni się tutaj wyjątek. I teraz przy nadejściu Pawła de Vareilles oddalił się na kilka kroków, by dać możność obwinionej porozumieć się ze swym obrońcą.

— Żanetko — szepnął były porucznik, dotykając się lekko jej ramienia — proszę posłuchać mnie... a przedewszystkiem nie okazywać wzruszenia i żadnego zdziwienia, że ja tu jestem...

Młoda dziewczyna podniosła machinalnie głowę i poznając go, mimo przyprawionych faworytów, omal nie krzyknęła, lecz na szczęście głos nie przedarł się przez jej ściśnięte gardło.

Zaczął mówić szybko:

— Jutro będzie pani wolna... niech pani się nie pyta ani dlaczego, ani jak... proszę iść przed siebie, o nic się nie troszcząc... ja tam będę...

Dając jej te wskazówki, rzucał niespokojnie wzrok w stronę pokoju sędziego, lecz ten dyktował dalej swój raport, skarżąc się ciągle na powolność pisarza.

Żanetka jak osłupiała spoglądała na nieznajomego. Zamiast błysków radości i nadziei na jej twarzy, Paweł de Vareilles ujrzał tylko przestrach i bojaźń. Młoda dziewczyna miała duszę czystą i prostą. Budziło się już w niej jakieś uczucie, oparte na sympatyi do tego nieznajomego, który z taką odwagą wyrwał ją z rąk napastników, gdy gwałtowne najście Lapipa, jakby piorun spadający u jej nóg, przerwało ten wylew wdzięczności. Komu więc ona otworzyła drzwi?... Kim jest ten złoczyńca, poszukiwany przez policyę?... Czy nie dlatego uniknęła jednego niebezpieczeństwa, by wpaść w drugie, może jeszcze gorsze?... Jego spieszna ucieczka świadczyła jasno, że oskarżenia inspektora nie są bez podstaw.

— Panie! — odrzekła — nie wiem, czego pan chce odemnie... nie potrzebuję żadnej pomocy... jestem niewinna i muszę wreszcie przekonać się o tem...

— Ależ, moje drogie dziecko, pani może jeszcze długo pozostać w więzieniu.

— Cóż z tego, jeżeli mam czyste sumienie?

— To tutaj mało znaczy...

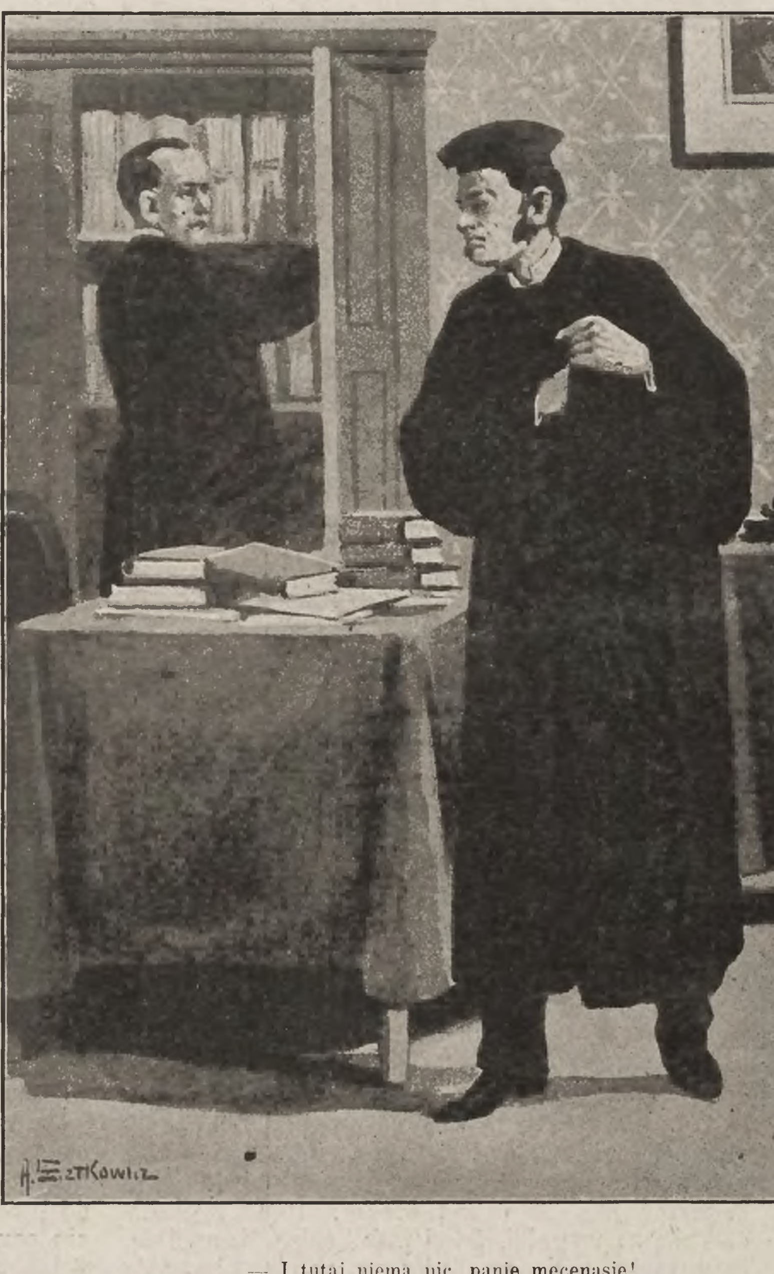
— Niech pan nie nalega!

Upór jej rozdrażnił do najwyższego stopnia Pawła de Vareilles. Było widoczne, że nie znając powodu, dla jakiego chce ją uwolnić z więzienia, Żanetka nie ufa mu. Niema czasu do wytłomaczenia jej wszystkiego, by ją przekonać. Pan Rodanet może lada chwila zawołać ją. Należy wzbudzić w niej ufność ku sobie.

Rzekł jej nerwowym głosem:

— Jedno słowo jeszcze... pani mówiła mi, że pewien człowiek przysiągł ojcu pani, iż będzie się panią opiekował?...

— Tak, panie — szepnęła wzruszona przypomnieniem tego w takiej chwili — mówiłam nawet, że pewnie zapomniał o swej przysiędze...



— I tutaj niema nic, panie mecenasie!...

— Niewinnie jednak oskarżyła go pani o niewdzięczność... on niczego nie zapomniał... i dzisiaj przychodzi spłacić swój dług...

Źrenice jej rozszerzyły się szeroko i zdumiona spojrzała na niego. Odgadła, co miał na wargach.

— To pan? — wyszeptała.

— Tak, Żanetko, to ja... również jak i pani niesłusznie obwiniony o przestępstwo, którego nie popełniłem i zmuszony ukrywać się, dopóki moja niewinność jak i pani nie zostanie uznana...

Młoda dziewczyna słuchała go cała zmieniona. Łzy już wyschły na jej twarzy. Oczy błyszczały wiarą i nadzieją. Nie lękała się już. Człowiek, któremu powierzył ją ojciec, musi być szlachetny.

— Dobrze! — odrzekła z prostotą — będę posłuszna... co mam uczynić?...

— Nie mamy teraz czasu... za chwilę stanie pani przed sędzią... Niech pani nie zdradzi się z naszą rozmową... cokolwiekby się stało, jutro pani będzie wolna... proszę wierzyć, że jedyną moją troską jest tylko szczęście pani...

Po słowach tych oddalił się zaraz szybko, a prawie jednocześnie pan Rodanet otworzył drzwi swego gabinetu i zawołał:

— Panna Levasseur!

Weszła.

— Proszę siadać — zaczął łaskawym tonem, wskazując jej fotel — wezwałem panią, by po raz ostatni jeszcze zapytać... przedtem jednak chcę dać pani dobrą radę... proszę mi powiedzieć całą prawdę...

Odpowiedziała spokojnie:

— Ciągle ją mówię...

— Nie... pani chwyciła się systemu zaprzeczania, który do niczego nie doprowadzi... jakże ja mogę uwierzyć, że pani nic nie wie o człowieku, który był u pani!...

— A jednak tak jest, proszę pana!...

Nerwowym ruchem uderzył ręką o biurko i zawołał:

— Pocóż te kłamstwa?... Fakty świadczą przeciw pani... przypuszczam w ostateczności, że pani nie znała wcale kapitana... zgodzić się chcę i na to, że pani nie przyjęła czynnego udziału w jego zabójstwie... lecz twierdzenie, że pani nie zna nawet nazwiska człowieka, którego zastano u pani w pokoju, czyż jest ono prawdopodobne?... Moje dziecko, proszę się jeszcze namyśleć!..

— Ja prawdę powiedziałam, proszę pana...

— Pani nie wie nic... absolutnie nic o nim?...

— Nic...

— Czy może pani na to przysiądz? — zapytał sędzia, patrząc jej prosto w oczy.

Żanetka podniosła się blada. Czy będzie miała odwagę złożyć przysięgę? Czy może kłamać wobec wizerunku Chrystusa? Lecz nie o nią już chodzi. Sekret powierzony jej nie do niej należy. Uczuła się gotową na wszystko, byle tylko nie zdradzić. Spuszczając więc powieki, rzekła:

— Tak!..

Przez chwilę zdawało się sędziemu, że zdoła już z niej wydobyć zeznania. Zaczął bardziej jeszcze nalegać.

— Ależ, moje dziecko, proszę powiedzieć... szczerość pani zostanie uznana...

Znowu powtórzyła:

— Nic nie wiem...

— A więc dobrze — odparł gniewnie pan Rodanet — nie chce pani pozbyć się swego milczenia?... Za kilka dni skonfrontuję panią z inspektorem Lapipem... a prawda musi wyjść na wierzch... narazie wróci pani do więzienia... sama pani tego chciała!

Na ustach młodej dziewczyny zawisło błaganie:

— Panie!...

Sędzia jednak nacisnął już guzik dzwonka elektrycznego i rzekł do wchodzącego dozorcy:

— Proszę odprowadzić pannę!...

Po opuszczeniu Żanetki Paweł de Vareilles skierował się na boczne schody, po których nigdy nikt nie chodzi, zerwał pospiesznie z twarzy faworyty i zrzucił z siebie togę adwokacką. Na chwilę ukazał się w liberyi posługacza biurowego, która pozwoliła mu wywołać sędziego do prokuratora. Włożył jednak zaraz na siebie, wyjęty z zawiniątka płaszcz gumowy i czapkę i stał się teraz podobny do chłopca stajennego, który idzie odwiedzić jakiegoś skazanego towarzysza. W dwie minuty potem był już na ulicy i wchodził do małej kawiarni, gdzie zażądał zaraz pióra i atramentu.

Nagle zadrżał. W lustrze, wiszącem naprzeciw siebie, ujrzał wchodzącego inspektora Lapipa. Mimo umiejętności panowania nad sobą, uczuł lęk. Straszna rzeczywistość stanęła przed nim. Wszystkie jego ostrożności i wybiegi nie zdały się na nic. Zaciekły inspektor wyśledził go i obserwował wszystkie jego machinacye. Jak zwierz tropiony zaczął szukać wyjścia do ucieczki. Jedno jednak tylko było i tego strzegł inspektor. Wpadł w pułapkę!

— Jestem zgubiony — szepnął do siebie.

Lecz Lapipe nie zauważył go wcale w ciemnym kącie, w którym siedział, kupił paczkę papierosów i wyszedł. Wtedy dopiero odetchnął Paweł de Vareilles; na rozkazie uwolnienia wypisał natychmiast nazwisko Żanety Levasseur, potem papier ten włożył do żółtej koperty, którą zaadresował:

Wielmożny Pan
Dyrektor więzienia Saint-Lazare
ulica Faubourg Saint Denis
E. V.

Następnie zapieczętował kopertę i poszedł ją wrzucić do skrzynki Trybunału. Stempel tego biura winien usunąć wszelkie podejrzenia.

— Żanetka jest wolna! — zawołał do siebie uradowany po załatwieniu tej czynności.

Po odesłaniu z powrotem do więzienia, młoda dziewczyna spędziła noc niespokojniej, niż wszystkie poprzednie i dopiero nad ranem zamknęła powieki w tem błogiem przeświadczeniu, że nie jest już sama, że człowiek, któremu polecił ją ojciec, czuwa nad nią troskliwie.

Bez zdziwienia też usłyszała po obudzeniu słowa siostry miłosierdzia:

— Czeka cię dobra nowina, moje dziecko... rozkaz uwolnienia cię nadszedł rano...

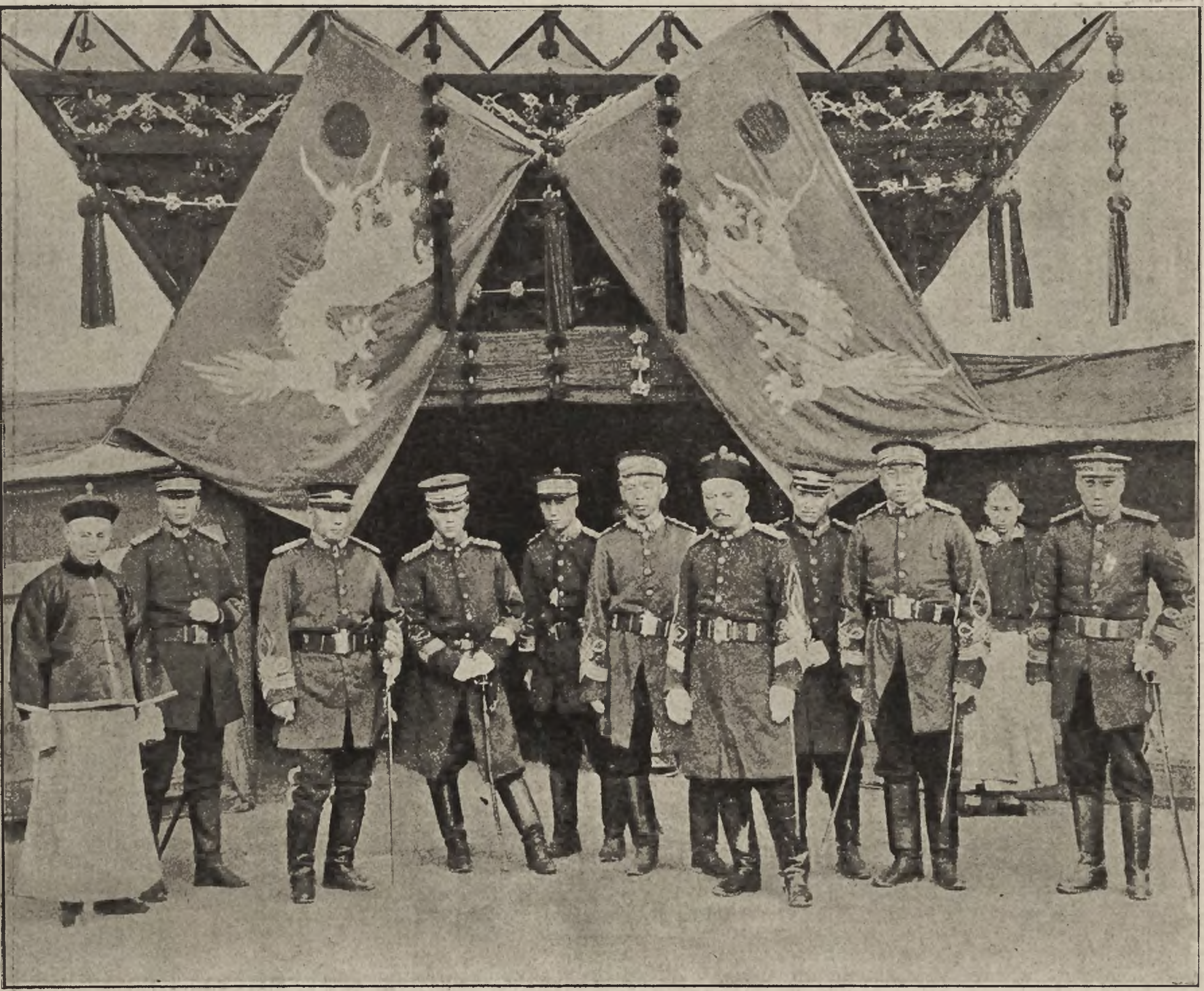
(Dokończenie nastąpi)

Regularna armia chińska.

Późno wprawdzie, lecz dokładnie przekonały się Chiny, że muszą wejść na drogę reform, aby uniknąć rozczłonkowania ze strony mocarstw europejskich i Japonii. Jednym zaś z głównych warunków utrzymania niezależności Chin, okazała się konieczność stworzenia takiej armii, która mogłaby stawić czoło wojskom, na sposób europejski zorganizowanym, wyćwiczonym i uzbrojonym. Już po przegranej z Japonią wojnie w 1895 roku, sfery rządzące w Chinach przyszły do przekonania, że należy gruntownie zreorganizować siły zbrojne, jakiemi dotąd rozporządzało państwo Niebieskie. Reformy zamierzone postępowały jednak początkowo w nader powolnem tempie. Dopiero wojna rosyjsko-japońska, którą toczono na terytoryum bezbronnych Chin, otwarła oczy Chińczykom.

Zabrano się tedy z prawdziwie gorączkowym pośpiechem do reorganizacyi armii na modłę Zachodu. Sprowadzono instruktorów, przeważnie oficerów japońskich, poczyniono zagranicą znaczne zakupy karabinów magazynowych i dział najnowszej konstrukcyi i urządzano co roku manewry, w których biorą udział wszystkie rodzaje broni, t. j. piechota, kawalerya, artylerya i oddziały techniczne.

Jeżeli sfery rządzące systematycznie dalej przeprowadzą podjętą reorganizacyę, to w roku 1912 będą Chiny rozporządzały 1,200.000 żołnierzy, wyćwiczonych i uzbrojonych nie gorzej, niż żołnierze którejkolwiek armii europejskiej. Gdy zaś weźmiemy na uwagę, że Chiny liczą przeszło 300 milionów mieszkańców, to łatwo możemy sobie przedstawić, jaką potężną armią będą one kiedyś rozporządzały, gdy przeprowadzą u siebie zasadę powszechnej służby wojskowej na wzór Europy. Równorzędnie z reorganizacyą sił lądowych postępuje



Regularna armia chińska: Wyżsi oficerowie chińscy przed barakiem, przystrojonym w chorągwie pułkowe.



Regularna armia chińska: Artylerya górska na pozycyi.

także reorganizacya floty chińskiej. Jedną z największych trudności przy tworzeniu nowej armii regularnej jest wrodzona niechęć Chińczyków do służby wojskowej, którą uważają za najpodlejszą z rzemiosł. Spodziewać się jednak można, że niechęć ta ustąpi pod wpływem konieczności i zmienionych zapatrywań całego narodu.

Ryciny nasze przedstawiają oficerów i żołnierzy regularnej armii chińskiej, w nowych uniformach, bardzo zbliżonych do uniformów japońskich.

KRONIKA TYGODNIOWA.

(Koniec wakacyi i mój jubileusz. — Powrót władzy domowej i jego następstwa. — Single a Rada szkolna. — Nowe podatki. — Wojna między ministrami — Zgoda czesko-niemiecka. — Niemcy o Galicyi. — Krzywda ruska. — Król Edward i szach. — Królestwo żydowskie. — Ścisłość dat statystycznych).

Niniejsza kronika, ostatnia w czasie wakacyjnym, a pięćdziesiąta z rzędu, jaka wyszła z pod mego utalentowanego (Aha! Przyp. zecera) pióra, powinna była dać mi sposobność do urządzenia jubileuszu, bo one teraz u nas także modne. Grono mych przyjaciół i wielbicieli, wychodząc z zasady, że skoro puszka na konserwy lub naparstek święcą uroczyście rocznicę pojawienia się na świecie, to i kronikarz może sobie na coś podobnego pozwolić, przygotowało mi wspaniałą owacyę, skromność wrodzona kazała mi wyprosić się od zaszczytnego uznania, choć nie zarzekam się wcale, iż byłoby mi bardzo przyjemnie, gdyby wdzięczne społeczeństwo zdecydowało się na wystawienie mi pomnika, choćby na gruntach pofortyfikacyjnych. W danym wypadku prosiłbym jednak, aby komitet zechciał energiczniej wziąć się do dzieła, niż komitet Kościuszkowski lub Kazimierza Wielkiego, o których życiu słyszymy czasem i czytamy, owoców jednak ich pracy nie widzimy. Nadto z okazyi jubileuszu zdecydowałbym się na dowody uznania ze strony Szanownych Czytelników, choćby pod postacią wyrobów ze złota, srebra lub innych szlachetnych kruszców, gdyż one najmniej narażone być mogą na zniszczenie i cieszą się popytem w Banku hipotecznym i Kasie oszczędności, gdzie zwykle lokuję moje wierzytelności, bo o oszczędnościach w tych ciężkich czasach niema i mowy! Nie nalegam jednak na nikogo i rzecz całą pozostawiam uznaniu każdego z Czytelników.

Z okazyi skończenia się wakacyi i mnie, jak każdego z słomianych wdowców, ogarnęła głęboka żałość, ukończyły się bowiem spokojne czasy, a z powrotem prawowitej władzy domowej, nastaje w domu hałas i rozgardyasz, od którego aż uszy puchną. Więc najpierw śledztwo domowe, jak małżonek spędził czas wakacyjny, przesłuchanie stróża, stróżki i służącej z przeciwka, czy nie zauważyli przypadkiem czegoś podejrzanego, dokładna rewizya, czy nie znajdzie się jakieś *corpus delicti* niewierności, a gdy to wszystko wypadło na korzyść małżonka, salomonowy wyrok: „a jednak ty mnie przecież oszukiwałeś!" Broń Boże, aby znalazły się jakieś poszlaki, wtedy raczej przywiąż sobie kamień młyński do szyi i rzuć się w srebrne odmęty Rudawy, gdyż jak rok długi czcigodna małżonka będzie ci robić wymówki i wytykać bezecność postępowania, stawiając za wzór jakiegoś znajomego, który od siedmiu lat leży sparaliżowany.

Gdy ta procedura ukończona, zaczyna się rozpakowywanie kufrów i tłumoków, wietrzenie, czyszczenie i trzepanie mebli i ubrań, napomnienia, aby pamiętać o zakupnie węgli na zimę i sprawieniu jesiennych kostyumów dla żeńskich członków domowego ogniska, wreszcie najtragiczniejszy moment nadchodzi, żona przedstawia ci czarne na białem, że ponieważ dałeś jej zamało pieniędzy, zmuszona była zaciągnąć tyle a tyle długów, które łaskawie pozwala ci zapłacić. Czegóżby zaś człowiek nie zrobił dla świętego spokoju! Choć ledwie dyszesz pod naciskiem różnych dobrodziejów, pożyczających z grzeczności na wysoki procent, łamiesz głowę, któregoby jeszcze ubłagać, aby pożyczył bodaj kilka stówek na konto spadku po nieistniejącej wcale cioci lub babci w Ameryce. Te kłopoty tak ci zajmą czas, iż ani się oglądniesz, a tu zima już nadchodzi i trzeba futra wykupić z zastawu.

Szczęśliwyś jeszcze, jeśli niebiosa nie pobłogosławiły twego związku potomstwem rodzaju męskiego, które uczęszczałoby do gimnazyum, gdyż przy znanym pechu miałbyś z pewnością bodaj jednego syna, który skończył klasę z singlem i czekał na pozwolenie zdawania poprawki, ćwicząc się tymczasem w flircie, tennisie lub wygrywając na mandolinie pod oknami ubóstwianej. Tymczasem Rada szkolna wzięła tego roku „na ambit" i wszelakim singlom odmówiła pozwolenia na zdawanie poprawki. Lament między uczniami, jeszcze większy między ojcami, których kieszeń znowu przejdzie ogniową próbę. Wprawdzie pan minister Stürgkh ułatwił płacenie czesnego, dozwalając wnosić je zapomocą czeków pocztowej kasy oszczędności, mała to jednak pociecha. Czy kupisz stemple, czy poślesz pieniądze pocztą, w każdym razie trzeba się o nie postarać, a teraz tak o to trudno.

Natomiast pociechą w zmartwieniu stała się dla każdego wiadomość, że piwo wcale nie podrożeje, gdyż minister Biliński zrzekł się swych dawniejszych projektów, bojąc się rewolucyi Niemców i Czechów, którzy bez piwa obejśćby się nie mogli. Zamiast podatku od piwa proponuje podatek od zapałek, podwyższenie podatku osobisto-dochodowego i wprowadzenie nowego podatku od samochodów i większej ilości służby. Prócz zapałek, których muszę używać, inne nowe podatki zupełnie mnie nie dotyczą. Dowiedzieliśmy się o tem z relacyi dziennikarskich w Radzie ministrów, odbytej równocześnie z zwołanem przez dra Głąbińskiego *consilium* nad chorym parlamentem. *Consilium*, jak wiadomo, nie postawiło żadnej konkretnej dyagnozy, co parlamentowi dolega, zgodzono się jednak, iż cierpi on na anemię i kolki czesko-niemieckie. Prognoza niepomyślna, leczenie dotąd nie obmyślane.

Podczas owej Rady ministrów o mały figiel nie przyszło do bójki między ministrem-rodakiem czeskim i niemieckim. Dr. Zaczek stawał w obronie Czechów, którzy w Austryi dolnej narażeni są na ciągłe prowokacye ze strony ludności niemieckiej. Dr. Schreiner kruszył kopie, wykazując jak na dłoni, że właśnie Niemcy prześladowani są w Austryi przez Słowian i nie mogą spokojnie śpiewać: *Wacht am Rhein.* W walce słownej wzięli udział i ministrowie Haertel i Hohenburger, skończyło się jednak na niczem. Spokój nastąpi dopiero wtedy, gdy Niemcy i Czesi zawrą ze sobą ugodę, na mocy której, przy każdem wzajemnem spotkaniu, czyto na lądzie, czy na Dunaju, Czesi zaintonują: *Wacht am Rhein,* na co Niemcy odpowiedzą: *Kde domov muj!* Pośrednictwa między obiema wojującemi narodowościami podjął się podobno dr. Głąbiński, który, gdyby tego dokonał, zasłużyłby sobie na *monumentum, aere perennius!*

Niemcy byli jednak i będą zawsze bardziej nienasyceni, niż owa apokaliptyczna bestya, która na śniadanie wypija pół morza wody. We Wiedniu im niewygodnie, gdyż Czesi się zanadto rozwielmożnili, na Śląsku i w Czechach czują się nieswojsko, ba nawet w Galicyi narzekają na polski szowinizm i wynaradawianie się poszczególnych jednostek. *Deutsches Volksblatt für Galizien*, oficyalny organ galicyjskich hakatystów, przynosi ciekawe rewelacye jakiegoś rezerwisty, który przez miesiąc odbywał służbę wojskową w Krakowie, i żali się swej braci, iż duch niemiecki w Krakowie stanowczo upada. Są wprawdzie osobniki, które z pietyzmem strzegą germańskiego Znicza, jak n. p. jakiś pan M., który nie pozwala w domu na używanie polskiego języka, niestety jednak takich jest bardzo mało. Nie dziwię się narzekaniom pana rezerwisty, Kraków to taki: *urdeutsche Stadt*, że aż wstyd, iż tak mało słyszy się tu niemczyzny. Są wprawdzie jej ostoje w domach różnych przybłędów, których nadzieja zrobienia karyery zapędziła do *Bärenlandu*, jest ich jednak za mało i jakoś nie mają odwagi narazić się polskim szowinistom. Radziłbym owemu panu, aby następną służbę odbył między swymi w Wiedniu lub choćby w Berlinie, uczucia jego patryotyczne nie będą wówczas na szwank narażone. Nam bez szwabów bardzo miło, i tej reszty, jaka tu wraz z panem pozostała wyzbędziemy się z przyjemnością, opłacając im nawet koszta transportu do *Vaterlandu.* Do szwabów odnosimy się z taką zawsze galanteryą, iż powinni ją uznac i w podzięce opuścić nasze śmieci...

Czy posłuchają mojej rady, nie wiem, gdyż niczem ich nigdy nie można zadowolnić, podobnie jak braci Rusinów, którzy zawsze narzekają na krzywdę, jakiej Ukraina doznaje ze strony Lachów. Że Siczyński zamordował ś. p. ekscellencyę Potockiego, to wina Polaków, gdyby bowiem namiestnikiem był wówczas Petryćkij, Tryl, Budzynouśkij lub choć Oleśnyckij, nie byłoby się to stało. Że Siczyńskiego skazano na śmierć, to przecież widocznie polska intryga, ale owa polska perfidya, jak powiadają Siczownicy, nigdy bardziej się nie ujawniała jak teraz, gdy Polacy swymi wpływami dokazali, że cesarz z okazyi swych urodzin nie darował Mirosiowi reszty kary, jak się spodziewano! Ot, biedaczek marnieje na rządowym wikcie w panteonie narodowym w Stanisławowie, a wszystko przez tych *Lachów vroklatych*, którzy niepotrzebnie zaanektowali Galicyę, należącą przecież do Ukrainy i tu uciskają biednego hajdamakę.

Zupełna analogia, jak z tego widać, zachodzi między stosunkami niemiecko-słowiańskimi w Austryi, a sprawą polsko-ruską w Galicyi. I tu i tam, ten, który właściwie jest uprzywilejowanym, narzeka i podaje się za męczennika, a są jeszcze tak naiwni i bezkrytyczni ludzie, którzy w to wierzą, lub choć udają że wierzą.

Swiatowa polityka zajmuje się obecnie sprawą kreteńską, wojną Hiszpanów z Kabylami, strajkiem szwedzkim, zdrowiem króla Edwarda i losem młodego szacha perskiego. Dwa ostatnie punkty szczególniej zaaferowały prasę austryacką. Zajęciu się zdrowiem króla Edwarda dziwić się nie trzeba, leczy się na terytoryum austryackiem, więc sama grzeczność wymaga, byśmy się interesowali postępem kuracyi. Od chwili, gdy Blériot przeleciał kanał La Manche, Anglicy stracili najzupełniej fantazyę, a król Edward, choć zaklinał się na wszystkie świętości, że w Austryi ani nosa nie pokaże, zjawił się w Maryenbadzie w całej okazałości. Do wzmożenia się konsternacyi w Anglii przyczyniły się nadto naboje dynamitowe, znalezione wśród węgli na pancernikach zjednoczonego królestwa. Zachodzą gentlemeni w głowę, kto je tam położył i nie mogą znaleść właściwego sprawcy. Jedni sądzą, że jest to podarek niemiecki, inni przypuszczają. że to wdzięczni Hindusi pragnęliby swym opiekunom ułatwić dostanie się do królestwa niebieskiego. Król na to wszystko kiwnął ręką, powiedział: *Honny soit, qui mal y pense*, wdział nowe liliowe rękawiczki, zaopatrzył się w sporą dozę bibuły i wyjechał do Maryenbadu. Współczujemy z nim wszyscy, mający choć w przybliżeniu tę samą żywą wagę.

Bardziej natomiast wzruszył nas los młodego szacha, który, siedząc na tronie, ciągle płacze i woła: „gdzie mama?!" *Neue Freie Presse* tak zajęła się losem młodocianego władcy, iż wysłała osobnego sprawozdawcę do poselstwa perskiego, aby tam zasięgnął języka, czy to prawda, że młody szach chce abdykować i czy popełnił zamach samobójczy. Uspokojono delegata, że nie potrzebuje się obawiać o los Achmeda Mirzy, gdyż cieszy się on doskonałem zdrowiem i wybornym humorem. Pogłoska o abdykacyi powstała stąd, iż raz siedząc na tronie, ujrzał na podwórzu bawiących się w żołnierzy rówieśników, zostawił więc całą radę koronną i pobiegł pomiędzy nich. Co do samobójstwa, to może to odnosić się tylko do lekkiej niedyspozycyi, jakiej młodzieniaszek nabawił się przez objedzenie się angielskimi cukierkami, które ofiarowała mu jakaś ciocia, czy babcia z okazyi wstąpienia na tron.

Po tej enuncyacyi urzędowej pierzchną więc wszelkie troski o zdrowie i całość młodego szacha, a *Neue Freie Presse*, organ naszych domorosłych Arabów, może spać zupełnie spokojnie, o ile nie zajmą jej inne, również ważne polityczne sprawy. Jedną z nich był zjazd żydowski w Genewie, na którym zastanawiano się, gdzie ma powstać nowe królestwo izraelskie, w Palestynie, czy w Cyrenajce. Na razie nie zgodzono się stanowczo, wyrażając zdanie, że najodpowiedniejszą siedzibą nowego państwa będzie tymczasowo Galicya, w której, jak wykazują zapiski statystyczne, najbardziej im powietrze służy.

Czy jednakowoż można wierzyć danym statystycznym, choćby nawet opublikowanym przez tak poważną instytucyę, jak centralna komisya statystyczna w Wiedniu, która w tych sprawach powinna być nieomylną, może sobie rozsądzić każdy, kto czytał w ubiegłym tygodniu sprawozdanie o ruchu turystycznym w Galicyi. Otóż ów organ urzędowy, gdyż takim jest sprawozdanie komisyi wiedeńskiej, doniósł, że w ubiegłym roku przybyło do Krakowa obcych 30.375, do Nowego Targu 90.26, do Lwowa aż 439! Prosta rzecz, że Lwów się obraził śmiertelnie nie tyle może na Kraków, ile na Nowy Targ i centralną komisyę i uważa to tylko za złośliwy zamach na swą godność, jako c. k. stolicy kraju koronnego.

X.

Z życia Polaków w Berlinie.

Jest rzeczą powszechnie wiadomą, w jak przykrych warunkach żyją Rodacy nasi na obszarze ziem leżących pod berłem Hohenzollernów, narażeni na prześladowania, ciągły ucisk i wynarodowienie. Wprost wierzyć się nie chce, słysząc o tamtejszych stosunkach, że coś podobnego dziać się może w Europie, w państwie, mającem pretensyę do wysokiej cywilizacyi. Dla Polaków istnieją zupełnie odrębne przepisy wyjątkowe, mające na celu odwrócić od Niemiec polskie niebezpieczeństwo. Nic też dziwnego, że wśród takich warunków naród polski trzyma się dzielnie, a jednością swą silny imponuje nawet krzyżackiemu wrogowi nie mogącemu go zdławić. Polacy w Berlinie mają swoje stowarzyszenia, wydają polskie pisma, słowem na polu uświadomienia i pracy narodowej wyprzedzili stanowczo nas, którzy żyjemy w daleko pomyślniejszych warunkach.

Jednem z towarzystw, mających na celu ochronę interesów polskich i wspólne łączenie się, jest *Sokół*, rozwijający się pomimo wielkich trudności, na jakie na każdym kroku napotyka, nadzwyczaj pomyślnie. Koło jego sztandaru jednoczy się cała berlińska Polonia, pamiętająca na sokole hasło: „w zdrowem ciele — zdrowy duch!“ A Rodakom naszym z nad Sprewy trzeba hartu ciała i ducha, by nie upaść w walce o najświętsze ideały.

W dniu 8 sierpnia br. odbył się na torze wyścigowym w Treptow pod Berlinem dziewiąty zlot piątego okręgu Związku Sokołów polskich, który pod każdym względem wypadł imponująco, tak pod względem liczby uczestników jak i precyzji, z jaką wykonano wszystkie ćwiczenia. Pogoda dopisała, więc też każdy z Polaków berlińskich, któremu tylko czas pozwolił, pospieszył do Treptow, by nacieszyć swe oko i ducha widokiem karnych zastępów, szeregowanych pod sztandarem tego prawdziwie demokratycznego stowarzyszenia. Wykonano najróżnorodniejsze ćwiczenia, w których wzięli udział mężczyźni i kobiety, a zgromadzeni widzowie gorąco je oklaskiwali. Młode pokolenie, żyjące i pracujące w myśl zasad sokolich, to cała nasza nadzieja na przyszłość, wyrosną z niego kiedyś mężowie silni ciałem i potężni duchem, którzy dzielnie poniosą sztandar, na którym wypisano: „*w jedności siła!*“

Podając w bieżącym numerze dwie illustracye z odbytego zlotu, życzymy berlińskiemu Sokołowi jak najpiękniejszego rozwoju na pożytek Ojczyzny, a bardzobyśmy pragnęli, aby i nasza młodzież z taką ochotą wstępowała w szeregi sokole, jak bracia z zachodnich kresów. U nas nikt tego nie broni, dlatego nie jest, jak być powinno, tam ucisk i prześladowanie zszeregowało karne zastępy i zachęciło do wydatnej pracy!



Z życia Polaków w Berlinie: Ćwiczenia laskami w czasie IX. złotu V. okręgu związku Sokołów polskich.

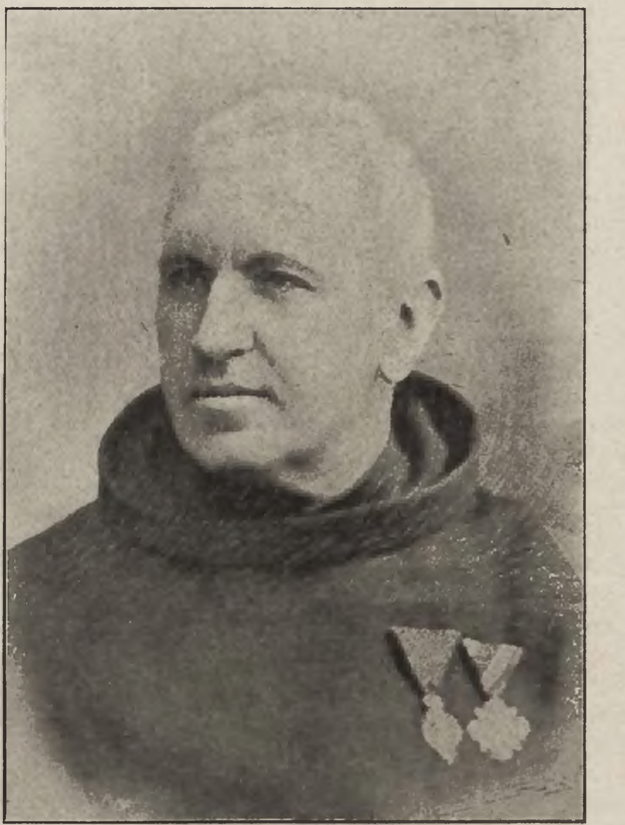


Z życia Polaków w Berlinie: Grupa członków berlińskiego Sokoła, biorących udział w ćwiczeniach zlotowych.

Śmierć prowincyała Bonifratrów.

Zakon Bonifratrów, cieszący się wszędzie, gdzie rozwija swą błogą działalność, gorącemi sympatyami ludności bez względu na narodowość i wyznanie, dotknął cios bolesny. Dnia bowiem 25 bm. zmarł po krótkich a dolegliwych cierpieniach w szpitalu krakowskiego konwentu Bonifratrów O. Edward Stur, prowincyał tego zakonu na całą Austryę.

Śp. prowincyał był rodem z Ruppersdorfu w Górnej Austryi i liczył w chwili zgonu lat 69. W przyszłym miesiącu miał on obchodzić 50-letni jubileusz swego powołania zakonnego, lecz niestety smierć zaskoczyła go z daleka od konwentu wiedeńskiego, w którym przebył bez przerwy pół wieku. Spełniając wszelkie możliwe funkcye w tym konwencie przy pielęgnowaniu chorych, przy zarządzie gospodarczym, jako kwestarz i t. d., otrzymał z biegiem czasu godność podprzeora, następnie przeora, wreszcie zaufanie współbraci wyniosło go w 1904 roku na wysokie stanowisko prowincyała czesko-austryackiej prowincyi, obejmującej 15 konwentów i szpitali.

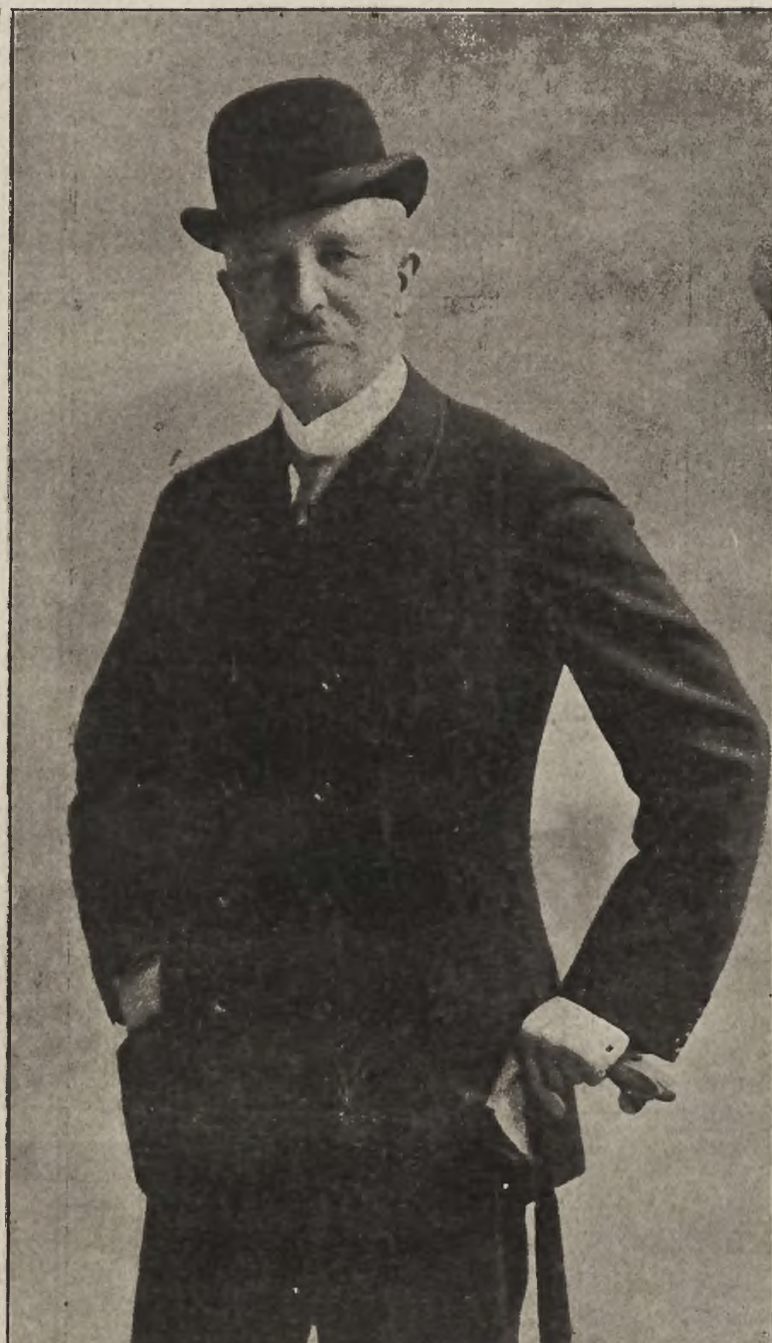


Śmierć prowincyała Bonifratrów: Ś. p. O. Edward Stur.

Aczkolwiek Niemiec czystej krwi, śp. O. Stur był wielkim przyjacielem Polaków. Szczególną opieką i życzliwością otaczał on naszych rodaków, przebywających w nowicyacie konwentu wiedeńskiego. Na nowy zaś szpital Bonifratrów w Krakowie ofiarował z funduszów prowincyi 40.000 K.

Do Krakowa przybył śp. O. Stur z wizytacyi w Zebrzydowicach, gdzie polecił poczynić znaczne adaptacye w tamtejszym szpitalu Bonifratrów i gdzie

w roku przyszłym zamierzał rozpocząć budowę nowego szpitala. Zmarły, człowiek łagodnego charakteru i bardzo miłosierny, był osobistością bardzo znaną i lubianą w Wiedniu. Zasługi jego na polu



Odznaczenie ministra spraw zagranicznych: Hr. Alojzy Aehrenthal.

opieki nad ubogimi chorymi wynagrodzili: cesarz, nadając mu order kawalerski Franciszka Józefa i odznakę honorową za 40-letnią wierną służbę, papież, ozdabiając go orderem *pro ecclesia et pontifice*, wreszcie miasto Wiedeń, wręczając mu wielki złoty medal św. Salwatora. Cześć jego pamięci!

Praca nad uruchomieniem parlamentu.

(Do illustracyi na stronie 10)

Konstytucya i parlamentaryzm, to rzeczy niewątpliwie bardzo piękne i szczytne, słusznie też chlubi się niemi ludzkość, jako zdobyczami cywilizacyjnemi. Niestety jednak parlament austryacki jest od długiego już czasu chory i nie odpowiada zupełnie swojemu przeznaczeniu.

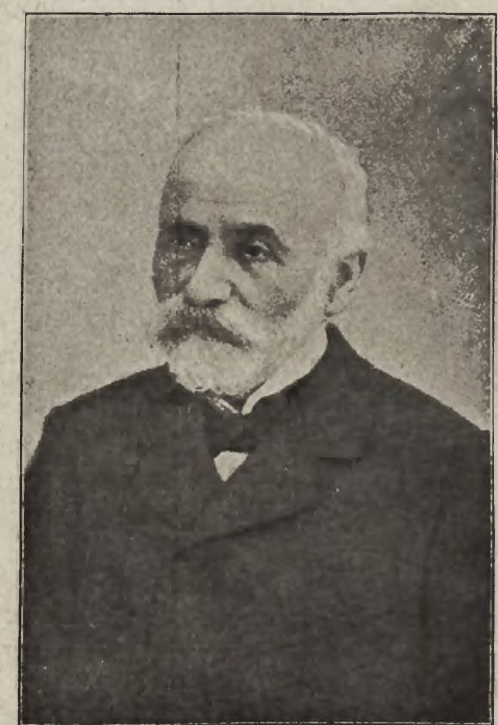
Nadzieje, jakie przywiązywano do zmiany ordynacyi wyborczej i wprowadzenia systemu powszechnego głosowania, nie spełniły się. Nie uniknięto sporów narodowościowych, nie zapobieżono obstrukcyi, która dotąd panuje niepodzielnie w wiedeńskim parlamencie. Rząd, na którego czele stoi bar. Bienerth, nie może sobie dać rady z poszczególnemi stronnictwami, dążącemi do zospokojenia apetytu swych członków, pragnących tytułów i pensyi ministrów. Stąd coraz nowe trudności, coraz nowe kłopoty.

Na tem tle rozegrała się i ostatnia walka między izbą posłów a rządem. Chodziło pozornie o sprawy ekonomiczne, a więc o otwarcie granicy rumuńskiej dla dowozu bydła i o nowe podatki, konieczne dla „załatania" budżetu. W istocie jednak sprawa obracała się około stereotypowej historyi austryackiej, t. j. rekonstrukcyi gabinetu, przyczem kilku posłów zostałoby ministrami.

Nie mogąc dojść do ładu z stronnictwami w izbie posłów, rząd zamknął sesyę i skazał posłów na kilkumiesięczne ferye bez dyet.

Obecnie podjął się niewdzięcznego zadania uruchomienia parlamentu i puszczenia w ruch maszyny parlamentarnej, prezes Koła polskiego, dr. Stanisław Głąbiński. Zaprosił on mianowicie przedstawicieli wszystkich stronnictw na wspólną konferencyę celem wzajemnego porozumienia się i wynalezienia *modus vivendi*.

Ponieważ jednak kwestya rekonstrukcyi gabinetu była wyłączona z porządku dziennego obrad, przeto z góry przewidziano, że rezultat konferencyi będzie tylko platoniczny. Tak się też stało. Przybyli wprawdzie wszyscy zaproszeni, z wyjątkiem czeskich radykałów, których przedstawiciel p. Choc pojechał na wycieczkę do Krakowa i Częstowy, mimo to stwierdzono tylko możność prowadzenia dalszych rokowań. „Unia słowiańska", najzawziętsza przeciwniczka obecnego rządu, pozostała na swem dotychczasowem stanowisku, Niemcy i Czesi tak samo, a wszyscy uznali, że sanacya parlamentu zależna jest tylko od „drobnostki", za jaką uznano wyrównanie przeciwieństw narodowych.



Podwójne samobójstwo: Ś. p. prof. dr. Ludwik Gumplowicz.

Mimo to dr. Głąbiński prowadzi dalej rokowania i za to należy mu się szczere i bezwzględne uznanie.

Podwójne samobójstwo.

Nadzwyczajne wrażenie i głębokie współczucie wywołała w Krakowie nadeszła z Gracu wiadomość o tragicznej śmierci znakomitego socyologa, profesora dra Ludwika Gumplowicza i jego żony.

Ś. p. Gumplowicz, rodowity krakowianin, cierpiał od dłuższego czasu na raka na języku, żona nieszczęśliwego w ostatnich latach prawie zupełnie ociemniała. Choć nawiedzony tak strasznem i nieuleczalnem cierpieniem, pragnąc osłodzić swej małżonce jej kalectwo, czytywał jej codziennie dzieła naukowe, aby ją bodaj na chwilę rozerwać. Ale wkrótce i jego stan zdrowia nadzwyczaj się pogorszył, a w ślad za tem przyszła ogromna depresya. W ubiegłym tygodniu zawezwał dr. Gumplowicz do Gracu swego syna Władysława, przebywającego w Szwajcaryi. Przybywszy na miejsce, starał się syn pocieszyć rodziców, i jak sądził to mu się udało, ojciec bowiem godził się na oko ze swym losem i odstąpił, jak się zdawało, od myśli samobójstwa, z którą się nosił.

W ubiegły czwartek wysłał śp. Gumplowicz syna do Kasy oszczędności z poleceniem, by podjął tam pewną kwotę. Powróciwszy i zastawszy zamknięte od wewnątrz drzwi mieszkania, złem przeczuciem tknięty, posłał syn natychmiast po ślusarza i



Czesi na wystawie częstochowskiej: Grono gości czeskich na placu wystawy. Między innymi wiceprezydent Izby posłów w Wiedniu, Zazvorka (X).

lekarza. Gdy drzwi otwarto, znaleziono w salonie na łóżku martwe zwłoki matki, na dywanie leżał trup ojca, a obok wypróżniona flaszeczka z sinku potasu. Nieszczęśliwi pozostawili dwa listy, jeden adresowany do policyi, w którym zawiadamiają, iż

i słusznie uważano go za ojca socyologii niemieckiej. Pozostawił wiele prac w języku niemieckim i polskim.

we artykuły, pełne entuzyazmu i uznania dla gościnności polskiej, pełne szczerych pochwał dla rozwoju kulturalnego, naszego narodu i wysokiego poziomu ekonomicznego w Królestwie Polskiem.

Wystawa częstochowska, którą Czesi tak licz-



Nauczyciele węgierscy w Krakowie: Wspólne śniadanie w restauracyi Drobnera.

z powodu nieuleczalnego kalectwa odbierają sobie życie, drugi do syna z rozporządzeniem ostatniej woli. Zwłoki obojga przewieziono do Wiednia i pochowano w familijnym grobie na tamtejszym cmentarzu ewangielickim.

Ś. p. Gumplowicz, znany publicysta i socyolog, był emerytowanym profesorem uniwersytetu w Gracu

Czesi na wystawie częstochowskiej.

Choć dużo już dni upłynęło od pobytu Czechów na ziemi polskiej, mimo to mówi się jeszcze i pisze o tem, zarówno w pismach polskich, jak czeskich i rosyjskich.

W pismach czeskich spotyka się coraz to nonie wyrobami swymi obesłali, cieszy się wogóle bardzo dużem powodzeniem. Dzięki bowiem staraniom komitetu, przedstawia się ona istotnie wspaniale i przynosi chlubę społeczeństwu naszemu w Królestwie Polskiem.

Na nas, mieszkańcach Galicyi, cięży tem bardziej obowiązek zaznajomienia się z wystawą czę-



Nauczyciele węgierscy w Krakowie: Grupa uczestników wycieczki, z przewodniczącym Michałem Kostką (X), królewskim radcą i inspektorem szkolnym komitetu trenczyńskiego.



Przed cesarskimi manewrami: Widok ogólny miasteczka W. Mezirzyczu z zamkiem (X) hr. Harrachów.

stochowską i ze stanem przemysłu w Królestwie, iż nasi przemysłowcy — z niewyjaśnionych powodów — wstrzymali się prawie zupełnie od udziału w tej wystawie. Niechajże przynajmniej masowe zwiedzenie jej przez Galicyan zrównoważy nieobecność wyrobów tutejszego przemysłu.

Czesi zawstydzili nas pod tym względem, bo nietylko obesłali bardzo licznie wystawę swymi wyrobami, ale urządzili wspaniałą wycieczkę do Częstochowy. a w najbliższych dniach zwiedzą ją znowu mieszkańcy Morawy.

Nauczyciele węgierscy w Krakowie.

W środę tego tygodnia przybyła do Krakowa, celem zwiedzenia miasta i jego pamiątek, wycieczka nauczycieli węgierskich z okolicy Trenczyna.

Wycieczka ta nie zupełnie się powiodła. Zapowiedziano pierwotnie przyjazd przeszło 150 osób, tymczasem w Krakowie zjawiło się ich tylko czterdzieści kilka. Podobno część wycieczkowców wróciła z drogi, z powodu karambolu kolejowego, jaki się na jednej z linii kolei węgierskich wydarzył. Nadto zamiast wczesnym rankiem, przybyli goście wskutek tego wypadku aż o 11-tej przedpołudniem, stąd część programu musiała odpaść a część zmieniono.

Krajowe „Ognisko nauczycielskie“ w Krakowie, które wzięło na siebie obowiązek powitania i ugoszczenia sympatycznych gości, miało więc dość kłopotu, mimo to związało się z zadania zupełnie dobrze i uczyniło wszystko, by swym kolegom zawodowym z Węgier pobyt w naszem mieście uprzyjemnić i urozmaicić.

Po wspólnem śniadaniu w restauracyi Drobnera przy plantach, udali się wycieczkowcy gremialnie do kościoła Maryackiego, następnie do kilku muzeów, na Wawel i kopiec Kościuszki, w przerwie zaś odbył się wspólny obiad.

Część uczestników wycieczki odjechała jeszcze tego samego dnia wieczór z powrotem do domu, część zaś została i nazajutrz zwiedziła Kraków dokładniej, a następnie udała się do Wieliczki i zwiedziła tamtejsze kopalnie soli.

Przed cesarskimi manewrami.

Kierujące sfery wojskowe wszystkich mocarstw, a nawet państw pomniejszych, wielką przykładają wagę do corocznych manewrów, założonych na wielką skalę, które mają przygotować szczególniej wyższych dowódców do sprawnego operowania znaczniejszą ilością żołnierza wszystkich gatunków broni. I w Austro-Węgrzech także, bez mała co roku, odbywają się pod.bne manewry, w których zawsze bierze udział wódz najwyższy, cesarz Franciszek Józef i stąd ich nazwa — cesarskie.

W roku bieżącym w pierwszych dniach września odbędą się takie manewry na Morawach, na północny zachód od miasteczka Wielki Mezirzyczi, po niemiecku Grossmeserisch, a jako gości, będzie w nich uczestniczył cesarz niemiecki. Będą to manewry jedne z największych, jakie kiedykolwiek odbyły się w Austro-Węgrzech. Zmierzą się podczas nich dwie armie, każda złożona z dwóch korpusów. Korpus krakowski będzie należał do armii północnej, pod dowództwem arcyksięcia Eugeniusza, generalnego inspektora armii.

Cesarz Franciszek Józef, następca tronu arcyksiążę Franciszek Ferdynand i arcyksiążę Karol, oraz cesarz Wilhelm zamieszkają w wielkim Mezirzyczu w zamku hr. Harrachów, zbudowanym w początkach XVI. wieku. Zamek ten ostatnimi czasy został wielkim sumptem odnowiony.

Głosy publiczne.

Cyrk „Edison“ rozpoczyna dnia 27 sierpnia b. r. przedstawienia kinematograficzne w zupełnie odnowionym budynku przy ul. Wielopole.

Jako atrakcya pierwszego programu dane dędzie oryginalne zdjęcie wzlotu aeroplanu Bleriota z Calais do Dovru przez kanał La Manche. Obraz ten pokazywany dędzie tylko przez jeden tydzień, gdyż zamówiony już jest przez wszystkie przedsiębiorstwa tego rodzaju w Galicyi.

— Reszta programu składać się będzie z najnowszych zdjęć naukowych i zabawnych, tak że wszelkim wymogom P. T. Publiczności w zupełności będzie odpowiadał.

Nadesłane.

Pół roku zaledwie minęło, gdy dwu młodych ludzi zawiązało spółkę wydawniczą: **„Wisła“ w Krakowie,** spółkę mającą na celu jednoczyć sztukę polską wszystkich trzech zaborów i wypierać z naszego polskiego kraju pruską tandetę i pornografię, które na rynkach polskich zajmowały dotychczas wyłączne prawo zbytu.

Zmieniło się to od czasu, kiedy spółka wydawnicza: „Wisła“ wystąpiła z przepięknemi a taniemi bardzo reprodukcyami obrazów najsławniejszych polskich malarzy i dała przez to możność nawet najuboższym warstwom zapoznania się z rozwojem polskiej sztuki i kultury artystycznej i zastąpienia obcej tandety wytworem przemysłu krajowego, polskiego.

Młodzi wydawcy, którymi są pp. A. Stolarski i W. Zapała nie zwrócili się po ukończeniu studyów do zwykłej u nas karyery urzędniczej, lecz zabrali się ochoczo do żmudnej pracy na polu krajowego przemysłu i swemi artystycznemi wydawnictwami dowiedli, że w rękach polskich nie powinna się ostać ani jedna obca pocztówka a zwł. pruska, gdy tak piękne a tanie pocztówki mamy wyrabiane w kraju!

Pocztówki: **„Wisła“** są wszędzie do nabycia w cenie **14 hal. za sztukę.** Adres wyd.: **„Wisła“ Kraków, Karmelicka.**

Kącik humorystyczny.

Ze statystyki,

W roku 1909 przypada na każde 200.000 Anglików jeden okręt wojenny, w r. 1910 jeden na 100.000, w r. 1911 jeden na 10.000, w r. 1912 na każdego Anglika jeden okręt, a w r. 1913 dwa okręty na jednego, niestety jednak niemieckie!

Rozwiązanie zagadek z Nr. 33.

Szarada: Karawana.

Arytmogryf: Czar walca.

Łamigłówka historyczna: **L**euktry, **I**nterim augsburskie, **B**enevent, **E**dykt restytucyjny, **R**zeź galicyjska, **U**nia lubelska, **M**ątwy, **V**illagos, **E**dykt nantejski, **T**rafalgar, **O**dsiecz Wiednia.

Szarada: Rumunia.

Zagadka: Zaraz.

Szarada: Konstantynopol.

Łamigłówka: Napoleon.

Nagrodę przez losowanie otrzymał *Z. Trzemeski, Kielce.* Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Nadzwyczajne przygody reportera Józefa Rouletabille.

ZAPACH DAMY W CZERNI

napisał Gaston Leroux.

27 (Dokończenie).

Zbliżamy się do Marsylii...

Pożegnanie było bolesne. Dama w czerni i Rouletabille nie rzekli do siebie ani słowa, lecz gdy pociąg ruszył, goniła go Matylda tęsknem wejrzeniem, a Rouletabille drżał z płaczu.

Lyon!... Nie możemy spać... wyszliśmy na dworzec, przypominając sobie poprzedni nasz przejazd, gdyśmy spieszyli na pomoc nieszczęśliwej. Rouletabille zaczął mówić, jakby chciał w potoku słów zapomnieć o smutnem pożegnaniu.

— Mój drogi, ale ten Brignolles to także okaz łajdaka! — odezwał się do mnie tonem wymówki, jakgdybym uważał tego bandytę za uczciwego człowieka.

Teraz opowiedział mi wszystko. Larsan potrzebował jakiego krewnego Darzaca, by zamknąć go w domu waryatów i znalazł Brignolles'a. Nie mógł trafić lepiej. Obydwaj zrozumieli się natychmiast. Wiadomo, jak łatwo umieścić człowieka w domu zdrowia; wystarczy wola rodziny i podpis lekarza a najzdrowszy człowiek może się znaleść odrazu między obłąkanymi. Wyjazd Darzaca na południe pomógł nadzwyczaj zamiarom obu bandytów. Pod koniec pobytu swego w San Remo, Darzac został, ściśle mówiąc, zapakowany do domu waryatów. Larsan dla uskutecznienia tego, wynajął sobie agentów prywatnych biur wywiadowczych. Pewnego razu Darzac wybrał się na wycieczkę w góry... Dom ten znajdował się w pobliżu, przy granicy włoskiej; wszystko było już przygotowane na jego przyjęcie. Dyrektor podobnego zakładu zazwyczaj nie wymaga żadnych wyjaśnień, o ile tylko jest w porządku z prawem i dobrze zapłacony... Wszystko stało się szybko, jak zwykle zresztą dzieje się w podobnych wypadkach...

— Lecz skąd dowiedziałeś się o tem? — zapytałem Rouletabille'a.

— Przypominasz sobie ten mały skrawek papieru, któryś mi przyniósł, mówiąc o przyjeździe do Sospel Brignolles'a. Były na nim tylko dwie sylaby *bonnet*, które jednak stanowiły dla mnie wielką pomoc, zwłaszcza ze względu na okoliczności, wśród jakich je znalazłeś.

I Rouletabille poprowadził mnie przez wszystkie fazy swego pojmowania tajemnicy, która aż do końca pozostawała dla nas niezrozumiałą. Naprzód uderzył go fakt schnięcia rysunku i wynikające stąd kłamstwo Darzaca. Bernier, badany przez Rouletabille'a, powtórzył słowa kłamstwa, tego, kogo wszyscy uważali za Darzaca. Ten mniemany mąż Matyldy nie mówił Bernierowi, że człowiek, któremu stary sługa otworzył drzwi o piątej godzinie, nie był nim. Ukrywa więc to zjawienie się drugiego Darzaca, a nie miałby do tego powodu, jeżeli ta właśnie postać nie była prawdziwym Darzacem. Jest to jasne, lecz Rouletabille boi się, czy źle tego nie zrozumiał i czeka z niecierpliwością powrotu człowieka, który pojechał z workiem. Wreszcie ten zjawia się i potwierdza, że wszedł do wieży Czworobocznej o piątej godzinie. Kłamie!... Rouletabille już wszystko teraz wie!...

Co teraz czynić?..... Czy zedrzeć natychmiast maskę z Larsana, który może znowu ucieknie? Okazać tem samem matce, że poraz drugi poślubiła Larsana i dopomogła do zabicia Darzaca? Nie! Musi się namyśleć. Żąda dwudziestu czterech godzin!..... Zapewnia bezpieczeństwo Damy w czerni, żądając od niej w tajemnicy przysięgi, że nie opuści zamku. Zwodzi Larsana, przekonywując go o swej wierze w winę starego Boba. Gdy Walter powraca do zamku z próżnym workiem, jawi się w nim nadzieja, że może Darzac jeszcze żyje!..... Biegnie na jego poszukiwanie. Posiada jego rewolwer, znaleziony po walce w Wieży Czworobocznej; podobny widział w jednym z sklepów rusznikarskich w Mentonie. Sprawdza i dowiaduje się, że ten rewolwer kupił rano poprzedniego dnia człowiek, którego rysopis otrzymał. Idzie potem za śladem, który zaprowadził Waltera do starego Castillonu; przekonywa się na miejscu, że ślad ten nie wraca do Mentony, lecz wskazuje drogę do Sospel! A czyż Brignolles nie zatrzymał się w Sospel? Obecność jego tutaj musi mieć łączność z tym dramatem. Przytem zniknięcie i ukazanie się prawdziwego Darzaca świadczy o porwaniu. Brignolles bez potrzeby nie przybywałby tutaj. Może on przyłączył się do tego porwania? Rouletabille z myślą tą wchodzi do oberży, znajdującej się przy tunelu koło Castillon i sprawdza, że istotnie przechodził tędy mężczyzna, którego rysopis odpowiada w zupełności opisowi rusznikarza. Mężczyzna ten zatrzymał się w oberży, by napić się wina, lecz dziwnie się zachowywał, jakby uciekł z domu waryatów. „Tutaj znajduje się dom zdrowia?“ — „Tak, jest na wzgórzu Barbonnet!“ Teraz te dwie sylaby *bonnet* znalazły dla siebie tłomaczenie. Darzac został zamknięty w domu zdrowia w Barbonnet! myśl ta opanowała Rouletabille'a. Kazał się wieść zaraz do Sospel, które leży u podnóża góry, a stamtąd ruszył wprost do domu zdrowia.

I Rouletabille odgadł dobrze. Przy drzwiach zakładu spotkał się z Brignolles'em. Bez żadnych wstępów rzucił się na niego i zagroził mu rewolwerem. Brignolles nikczemnik zdradził zaraz wszystko, wołając, że Darzac żyje. W kwandras potem Rouletabille znał już całą historję, dla poznania jednak tego nie starczył rewolwer, lecz musiał jeszcze przyrzec opryszkowi pewną sumę pieniędzy. Larsan rzucił do przepaści tylko worek, Darzaca zaś umieścił znowu w domu zdrowia; kierowała nim zapewne w tym wypadku przezorność, aby mieć zakładnika, gdyby Matylda spostrzegła jego szalbierstwo.

Rouletabille wszedł zaraz z Brignolles'em do zakładu i zażądał wydania natychmiast pacyenta. Dyrektor, gdy usłyszał kilka słów wyjaśnienia, jakie mu dał reporter, z niezmierną gotowością przychylił się do tego żądania.

Po drodze Rouletabille dowiedział się od Darzaca, iż przed kilku dniami przekonał się z dziennika, jaki mu przypadkiem wpadł do ręki, że jest już żonaty i mieszka wraz z żoną w forcie Herkulesa. Domyślił się też odrazu, skąd pochodzą jego nieszczęścia i kto go umieścił między waryatami. Postanowił za wszelką cenę wydobyć się z tego domu; skradł w tym celu palto dyrektora i woreczek z kilkudziesięcioma frankami i szczęśliwie wydostał się na wolność. Udał się natychmiast do fortu; widział własnemi oczami Darzaca! Widział samego siebie!... Ułożył sobie prosty plan działania. Przedostać się do pokoju Matyldy i tam na miejscu przychwycić swego sobowtóra... Dowiedział się od okolicznych mieszkańców, że „małżeństwo przyjezdne“ mieszka w Wieży Czworobocznej. Przed wykonaniem swego planu kupił sobie rewolwer i zrzucił palto dyrektora, które mogłoby go zdradzić, a nabył natomiast marynarkę, jaką nosił tamten Darzac. Ukryty za drzewami na sąsiedniem wzgórzu, z którego widać było wszystko, co się dzieje na zamkowym dziedzińcu, zobaczył, że Darzac poszedł do Wieży Karola Zuchwałego. Wtedy zaryzykował i wszedł swobodnie do fortu. Przechodząc koło nas, chciał zawołać, że jest, powstrzymał się jednak z obawy, by zawcześnie nie zdradzić swej obecności.

Dalszy ciąg tej strasznej jego przygody już jest znany. Nie wiedziałem tylko, w jaki sposób wyniesiony w worku, przybył po raz wtóry do Wieży i dostał się do szafy. Rouletabille i to wyjaśnił. Dowiedział się on przez ucieczkę starego Boba, że istnieje wyjście z zamku przez studnię, tą też drogą wprowadził Darzaca w nocy do fortu. Za późno było przystępować odrazu do działania, odłożył więc porachunki z Larsanem do następnego wieczoru, a Darzaca przy pomocy Berniera ukrył w zakątku Nowego Zamku.

Przy słowach tych nie mogłem powstrzymać okrzyku zdziwienia:

— Więc to było to!

— Tak, to...

— To ja dlatego odkryłem tego wieczoru „Australię“. Tego wieczoru widziałem prawdziwego Darzaca!... Nic dziwnego, że nie pojmowałem twojego potem rozumowania!... O, teraz rozumiem już wszystko!...

— Czas już chyba... odparł uśmiechnięty Rouletabille... Bardzo nam wtedy przeszkadzałeś. Gdyś ukazał się na dziedzińcu, ledwie zdążyłem zasunąć za sobą pokrywę na studni, Darzac zaś pobiegł do Nowego Zamku... Gdyś się położył spać, byliśmy bardzo zakłopotani. Wszystko byłoby stracone, gdybyś rano wspomniał mniemanemu Darzacowi o szukaniu w nocy „Australii“. Nie chciałem zaś tłomaczyć ci wszystkiego, bojąc się, byś się nie zdradził mimowoli. Wysłałem cię więc rano na połów krewetek!

— Oh! teraz rozumiem!...

— Zawsze wszystko rozumiesz we właściwym czasie. Spodziewam się, że nie gniewasz się na mnie za ten połów, dzięki któremu mogłeś spędzić tak rozkoszną godzinę z panią Edytą...

— Ale à propos pani Edyty, po coś ty mnie tak rozgniewał?... zapytałem.

— By módz okazać ci swój gniew i przez to zabronić odzywania się do mnie i do Darzaca!... Powtarzam ci, żem niemógł dopuścić, byś o swej nocnej przygodzie rozmawiał z Darzacem!...

— Jednej jeszcze jednak rzeczy nie rozumiem, zawołałem!... Śmierci ojca Berniera!... Kto więc zabił Berniera!...

— Laska! odrzekł Rouletabille chmurnie... Ta przeklęta laska...

— Sądziłem, że to ta najstarsza skrobaczka...

— Tak, laska i skrobaczka... pierwsza wywołała śmierć, druga ją wykonała.

Patrzyłem na Rouletabille'a podejrzliwie, czy przypadkiem nie majaczy.

— Do tej pory jeszcze nie możesz domyśleć się, dlaczego ja upuściłem laskę Artura Rance'a przed tym Darzacem! Chciałem, by on ją podniósł. Pamiętasz, że w czasie dramatu w Glandier, Larsan miał laskę z zakrzywioną rączką i trzymał ją zawsze

w specyalnie charakterystyczny sposób. Pragnąłem ujrzeć, jak ten Darzac będzie trzymał laskę. Ach! widzieć go z tą laską, z ruchami bandyty... jak zapomina choćby na chwilę o swem przebraniu, o swej wystudyowanej pozie... Niech pan zrzuci laską herb Mortola, niech pan uderzy silnie, mocniej panie Darzac!... I on uderzył!... i widziałem jego naturalną postać!... Widział ją i kto inny, który już teraz nie żyje... Biedny Bernier stał za nami i przyglądał się strącaniu herbowej tarczy, trzymając w ręku najstarszą skrobaczkę, która wypadła z kieszeni staremu Bobowi... Umarł, gdyż w chwili tej zobaczył Larsana z laską, zobaczył jego postać, jego ruchy!... Larsan go tak przeraził, iż zachwiał się i padł na skrobaczkę... Wszystkie walki mają swe niewinne ofiary...

Nastąpiło milczenie. Nie mogłem się jednak powstrzymać, by nie wyrazić mu swego żalu, iż utrzymywał mnie w przekonaniu o winie starego Boba.

Uśmiechnął się.

— Och! Tym wcale się nie zajmowałem!... Byłem przekonany, że to nie on był w worku... Po umieszczeniu Darzaca pod opieką Berniera w Nowym Zamku, opuściłem fort przez wyjście w studni i siadłem do łódki Paola, przyjaciela „Kata morza“. Pojechaliśmy na połów, gdyż i tak nie miałem nic do czynienia w nocy. Dowiedziałem się, że łódka, w której siedziałem, należała do Tullia. „Kat morza“ stał się naraz bogatym, gdyż, jak mówił, otrzymał dużo pieniędzy od pewnego starego uczonego za cenne muszle. Istotnie widziano w ostatnich dniach Tullia w towarzystwie starego Boba. Wyjaśniła mi się sprawa wuja Edyty: by wydostać się z zamku pokryjomu przez studnię, potrzebował łódki i w tym celu zawarł ugodę z Tulliem. Zapytałem o adres „kata morza“ i posłałem go anonimowo Arturowi Rance, donosząc mu, że tam może się dowiedzieć o losie starego Boba. Bałem się tylko, by odszukanie starego Boba nie popsuło mi planu i z niewielką radością usłyszałem wieść o jego odnalezieniu. Pocieszyła mnie jednak ta okoliczność, iż ma ranę na piersiach. Dzięki jej mogłem jeszcze przedłużyć przez kilka godzin swą grę.

— A dlaczego nie przerwałeś jej zaraz?

— Czyż nie rozumiesz, że nie mogłem zbytecznej osoby wywieść w dzień? Musiałem przecież wszystko przygotować. I jakiż dzień mieliśmy z powodu śmierci Berniera! Przybycie żandarmów i sędziego, wszystko utrudniło rozwiązanie. Czekałem na ich odejście. Pierwszy wystrzał oznajmił mi, że ostatni żandarm opuścił oberżę w Albo, drugi, że straż celna powróciła do siebie i morze jest wolne!...

— Powiedz mi — zapytałem, patrząc mu prosto w oczy — czyś wiedział, co łódka, którą zatrzymałeś przy końcu wyjścia podziemnego, będzie wiozła potem!

— Nie... — odpowiedział wolno z opuszczoną głową. — Nie myślałem, że będzie uwoziła trupa... Mimo wszystko, to mój ojciec!... Sądziłem, że pojedzie nią zbyteczna osoba, ale do domu zdrowia!... Wiesz, skazałem go na wieczne tam więzienie... Lecz on się zabił... Bóg tego chciał!... Niech Bóg mu wybaczy!...

Nocy tej już nie rozmawialiśmy wcale. Rano w Laroche kupiliśmy dzienniki i zagłębiliśmy się w czytaniu. Wszystkie pisma przepełnione były wiadomościami z Rosyi. W Petersburgu odkryto konspiracyę. Na pierwszej karcie dziennika, w którym pracował mój przyjaciel, przeczytałem wielkiemi literami wypisany tytuł:

Odjazd Józefa Rouletabille'a do Rosyi.

A pod tem:

Wzywa go Petersburg.

Podałem dziennik Rouletabille'owi.

— Nawet bez pytania mnie!... Cóż redaktor chce, bym tam czynił?... Nie zajmuję się rewolucyonistami... To sprawa nie moja!... Poproszę o urlop, gdyż muszę odpocząć. Czy chcesz, pojedziemy gdzie razem na odpoczynek?...

— Nie, nie — zawołałem pospiesznie — dziękuję ci, dosyć już mam odpoczynku z tobą.

— Jak chcesz, mój drogi, nikogo nie zmuszam.

Gdyśmy przybliżali się już do Paryża i poprawiali swą toaletę, spostrzegł naraz ze zdziwieniem w kieszeni czerwoną kopertę, która jakimś cudownym sposobem tam się dostała. Rozerwał ją i głośno roześmiał się.

— Ależ jadę, mój drogi, jadę!... Ach! Gdy tak się zaczyna, to jadę!...

— Dokąd?

— Do Petersburga.

I podał mi list:

„Wiemy, iż redakcya pańskiego dziennika wysyła pana do Rosyi z powodu wypadków, które zajmują obecnie Petersburg... Jesteśmy zmuszeni przestrzedz pana, że nie dojedzie pan żywy do Petersburga.

Centralny komitet rewolucyjny“.

Patrzyłem na Rouletabille'a, który się cieszył coraz więcej. Odezwałem się:

— Książę Galicz był na dworcu.

Odrzekł mi wesoło:

— Doskonale! Zaczyna się nowa zabawa!

Napróżno błagałem go, by zaniechał swego zamiaru; jeszcze na dworcu północnym prosiłem go o to prawie ze łzami... Odpowiadał mi tylko: „Zaczyna się nowa zabawa“ i pojechał.

Na drugi dzień zająłem się swemi sprawami w sądzie. Pierwszymi kolegami, których spotkałem, byli Henryk Robert i Andrzej Hesse.

— Dobre miałeś wakacye? — zapytali.

— Doskonałe!

Taką jednak miałem przytem minę, iż poprowadzili mnie zaraz do bufetu.

KONIEC.

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożył W. Rapacz, Żarki.

Niema tu obcych, samiśmy swoi!
Powiem w sekrecie, że ile razy
Całość jest trudna (lecz bez urazy!)
Klniemy autora, na czem świat stoi,

Lecz coś nas nęci i niepokoi
I *drugiej trzeciej* szukamy ludzi,
Kiedy myślenie nas już utrudzi
Boć sobie każdy nagrodę roi.

Myślę dzień cały, zrzedła mi mina,
Bo *pierwsza druga* przyszła godzina
A *całość* jeszcze nie rozwiązana.

Wszystkie litery tańczą bostona
Oho! i lampa moja już kona
Niech tam!... nie myślę ślęczeć do rana.

Łamigłówka.

Ułożył H. Krupecki. Warszawa.

W miejsce kresek wstawić litery, które wypełnią słowa, mające pewne znaczenie. Litery te, czytane z góry na dół, dadzą imię i nazwisko sławnego króla polskiego.

— ofa
— urcya
— uropa
— uryat
— rka
— oga
— uiak
— niol
— eatr
— aza
— obak
— psylon.

Arytmograf.

Ułożył H. Krupecki, Warszawa.

Cyfry zastąpić literami, aby utworzyły wyrazy o podanem niżej znaczeniu. Litery ich środkowe, czytane z góry na dół, dadzą znane polskie przysłowie.

23	5	13	2	5
	21	15	23	
1	19	10	17	5
	1	22	16	
19	5	17	22	4
16	20	19	10	1
	4	5	1	
1	19	14	5	1
	11	20	19	
1	5	1	5	22
4	5	19	1	5
	11	5	19	
	22	1	22	
	4	8	23	
1	22	9	5	23
	15	11	5	
19	5	11	15	13
	19	20	4	
	22	17	5	
	13	22	12	
	10	9	5	
11	15	5	7	5
11	5	13	5	13
	1	22	12	

Znaczenie wyrazów: 1. Broń. 2. Ptak. 3. Minerał. 4. Zwierzę domowe. 5. Miasto w Królestwie Polskiem. 6. Mieszkaniec południowo-wschodniej Europy. 7. Roślina 8. Małe drzewo. 9. Mieszkaniec południowej Afryki. 10. Produkt surowy służący do wyrobu czekolady. 11. Pieniądz niemiecki. 12. Miasto na Podolu. 13. Narzędzie jednego ze zmysłów. 14. Owad. 15. Rzemieślnik. 16. Imię żeńskie. 17. Duchowny u Żydów. 18. Napój. 19. Rodzaj poezyi. 20. Część głowy. 21. Imię żeńskie. 22. Miasto na Podlasiu. 23. Owoc południowy. 24. Ptak śpiewający.

Zagadka literacka.

Ułożył Klemens Sokołowski, Śniatyn.

Wymienić po jednem dziele podanych niżej pisarzy. Początkowe ich litery, czytane z góry na dół, dadzą imię i nazwisko jednego z najznakomitszych malarzy polskich o światowej sławie.

1. Syrokomla ?
2. Szekspir ?
3. Sienkiewicz ?
4. Sziller ?
5. Słowacki ?
6. Göthe ?
7. Tennyson ?
8. Ibsen ?
9. Mickiewicz ?
10. Fredro ?

Zagadka.

Ułożył W. Rapacz, Żarki.

Czy z przodu, czy wspak czytany,
Nie doznaję żadnej zmiany,
Lessing w swoim poemacie
Mię przedstawił, więc mnie znacie!

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania Zygmunta Sobieszczańskiego: **Miłość.** Opowieść liryczna.